



MEANDER

ROK LXXVIII 2023: s. 3–35
ISSN 0025-6285
DOI: 10.24425/meander.2023.147932

JULIUSZ DOMAŃSKI, KATARZYNA GOLANOWSKA, INGA GRZEŚCZAK,
ROMAN KRZYWY, ARIADNA MASŁOWSKA-NOWAK,
AGNIESZKA MITURA, MARCIN L. MORAWSKI, ALINA NOWICKA-JEŻOWA,
BARBARA OPAŁA, MIKOŁAJ SZYMAŃSKI

DOKTOR JERZY MAŃKOWSKI (1935–2022). DZIESIĘĆ GŁOSÓW

DOCTOR JERZY MAŃKOWSKI (1935–2022). TEN RECOLLECTIONS

Streszczenie: Portret niedawno zmarłego doktora Jerzego Mańkowskiego, filologa klasycznego i badacza literatury polskiego średniowiecza i renesansu, odmalowany w dziesięciu wspomnieniach: kolegów, uczniów i córki. Na pamięć zasługuje nie tylko rozległa erudycja i celne sądy doktora Mańkowskiego, ale także porywający styl jego wykładów i nauczania oraz pasja, którą zarażał uczniów i czytelników swoich prac. Bliscy i przyjaciele wspominają również jego zamiłowanie do wspólnych wędrówek górskich.

Słowa kluczowe: Jerzy Mańkowski; badania nad starożytnością w Polsce; studia neolatynistyczne

Summary: The late Dr Jerzy Mańkowski, a classical scholar and a researcher in Polish mediaeval and Renaissance literature, is portrayed through ten voices of his colleagues, disciples, as well as his daughter. He will be remembered for his wide knowledge and critical acumen, but first of all for the passion and enthusiasm which he passed on to his disciples and readers of his works. His relatives and friends also recall his love for hiking in the mountainous regions of Poland.

Keywords: Jerzy Mańkowski; Classics in Poland; Neo-Latin studies



Ten utwór jest dostępny na warunkach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowe (CC BY 4.0), która umożliwia nieograniczone korzystanie, rozpowszechnianie i kopiowanie utworu pod warunkiem odpowiedniego oznaczenia autora i źródła. Zob. <https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/deed.pl>

Poniższe wspomnienia odmalowują sylwetkę Jerzego Mańkowskiego (31 października 1935 – 21 marca 2022): badacza literatury antycznej i staropolskiej, znakomitego nauczyciela, nietuzinkowego człowieka. Dopełniają ten hołd zamieszczone w tym samym numerze dwa dedykowane jego pamięci przekłady: autorstwa Małgorzaty Borowskiej i Katarzyny Różyckiej-Tomaszuk, publikujemy również zestawioną przez panią Justynę Mańkowską bibliografię prac męża. W ten sposób upamiętniamy postać szczególnie ważną dla „Meandra”. Na jego łamach Jerzy Mańkowski debiutował w roku 1961 i tu rok później opublikował ważny, obszerny artykuł o XVI-wiecznej recepcji historii trojańskiej w Polsce na podstawie pracy magisterskiej, napisanej w Katedrze Filologii Klasycznej UW. Odkąd fotel redaktora naczelnego objął w 2005 roku Mikołaj Szymański (czyli odkąd obecni redaktorzy mogą o tym zaświadczyć), pan doktor Mańkowski służył redakcji radą i obdarowywał nas opiniami o kolejnych zeszytach, tak że naturalną kolejną rzeczą od 2012 roku poświadczaliśmy jego wkład w stopce redakcyjnej, gdy zgodził się dołączyć do komitetu redakcyjnego. Był naszym łącznikiem z twórcami „Meandra”.

Dziękujemy pani Ariadnie Masłowskiej-Nowak za wsparcie w zebraniu zamieszczonych tu materiałów oraz paniom Justynie Mańkowskiej i Agnieszce Miturze za udostępnienie fotografii.

Redakcja

Kilka wspomnień o Jerzym Mańkowskim

Znałem go zapewne znacznie dawniej, ale w pamięci mojej wyraźniejszy wizerunek Jerzego Mańkowskiego utrwalił się dopiero od naszego spotkania w Drugim Gimnazjum Miejskim w Starachowicach, gdzie przedstawiał on, posługując się ciekawymi materiałami archiwalnymi z czasów okupacji, dywersyjną działalność konspiracyjną naszego wspólnego (w różnych rzecz jasna latach) mistrza, Kazimierza Kumanieckiego, ale o tym za chwilę.

Od roku 1992/93 byliśmy kolegami w Instytucie Filologii Klasycznej UW. A że mieszkaliśmy po drugiej stronie Wisły – on na Grochowie, ja na Saskiej Kępie – to się zdarzało, żeśmy część drogi odbywali razem. Często też miałem okazję słyszeć rozmaite jego wypowiedzi na zebraniach naukowych. Pamiętam też, że czytałem partie jego książki poświęconej mitom w tragediach Eurypidesa¹. Wszystko to zapewne spowodowało, że

¹ J. Mańkowski, *Mity i świat Eurypidesa. Zagadnienia wybrane*, Ossolineum, Wrocław 1975.

w moich wydanych w roku 2012 wspomnieniach znalazła się o nim taka oto, może niezbyt stosowna, wręcz wścibska wypowiedź:

Jest dla mnie niedocieczoną tajemnicą, dlaczego ten człowiek nie jest dziś profesorem, dlaczego karierę swoją zakończył doktoratem i nie zrobiwszy habilitacji pozostał aż do emerytury (wcześniejszej niż profesorska) starszym wykładowcą uniwersyteckim. Jest to bowiem uczony o rozlicznych i nieprzeciętnych zdolnościach, filologicznych przede wszystkim, wiedzy ogromnej i gotowej, niezwykle też w mowie żywej i piśmie sprawny. Jeszcze dziś, myślę, mógłby się habilitować choćby zebrawszy jako rzetelną namiastkę monotematycznej rozprawy swoje liczne i świetne studia o Kochanowskim, którym się bardzo pomysłowo i bardzo owocnie od lat zajmuje. Kiedy go słucham na różnych konferencjach w różnych miejscach, kiedy czytam na przykład jego wnikliwe a bezlitosne recenzje, nie mogę odżałować, że takie zdolności nie zaowocowały, jak należy, zwłaszcza że jest, jak się zdaje, także bardzo pracowity².

Studia dotyczące Kochanowskiego przyszły mi na myśl, bo to była w publikacjach Jerzego Mańkowskiego dominanta, lecz nie stanowiły one jedyne obszaru jego badań. Widać to wyraźnie w wydanym przed trzema laty obszernym tomie jego studiów: *Memoriale praeteritorium...*³. Wśród nich znajduje się spora liczba prac dotyczących *Kroniki* Wincentego Kadłubka. Dwu z nich chciałbym teraz poświęcić nieco uwagi, zaczynając od studium najstarszego w zbiorze: *Krak, uczeń Sokratesa*.

Po raz pierwszy ukazało się ono dziewiętnaście lat wcześniej w aktach konferencji na temat inspiracji platoinizmem w dawnej literaturze staropolskiej, odbytej w roku 1998⁴. Bez przesady można powiedzieć, że w trwających od XIX wieku nowoczesnych studiach nad źródłami *Kroniki* Kadłubka stało się ono wydarzeniem epokowym: wskazało precyzyjnie platońskie pochodzenie jednej z najważniejszych idei dzieła polskiego kronikarza, słynnej idei sprawiedliwości biorącej w obronę nie najsilniejszych, lecz najsłabszych. Źródłem tym jest początek dobrze zakorzenionego w kulturze Francji XII wieku Kalcydiuszowego przekładu *Timajosa* Platona i komentarza do niego. W cztery lata po ostatnim krytycznym i komentowanym wydaniu Kadłubkowej *Kroniki* przez Mariana Plezię⁵ Jerzy Mańkowski nie tylko z precyzją filologiczną pierwszy wskazał to źródło Kadłubkowych formuł, ale także potrafił subtelnie wyjaśnić ich głęboką ideową treść, stając się zarazem w tym zakresie również inspiratorem dalszych owocnych badań cu-

² J. Domański, *Między filozofią a filologią. Wspomnienia*, wyd. II uzupeł., Instytut Historii Nauki PAN, Warszawa 2012 (Fontes Rerum Historiam Scientiae Spectantium II 200), s. 350.

³ J. Mańkowski, *Memoriale praeteritorium. Studia mediewistyczne i renesansowe*, Wydział Polonistyki UW, Warszawa 2019 (Studia o Literaturze Dawnej 8).

⁴ *Krak, uczeń Sokratesa (glosa do Kadłubka Chronica Polonorum I 5, 3)*, [w:] *Inspiracje platońskie literatury staropolskiej. Materiały z konferencji zorganizowanej przez Zespół Badań Literackich nad Historią Kultury Epok Dawnych Instytutu Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego 14–15 października 1998 r.*, oprac. A. Nowicka-Jeżowa, P. Stępień, Wydział Polonistyki UW, Warszawa 2000, s. 147–150 (przedruk w: *Memoriale praeteritorium...*, s. 85–88).

⁵ *Magistri Vincentii dicti Kadłubek Chronica Polonorum*, wyd. i oprac. M. Plezia, PAU, Kraków 1994 (Monumenta Poloniae Historica N. S. 11).

dzych⁶. Nie zdążyła już uwzględnić Kadłubkowego źródła w komentarzu do ostatniego wydania swojego przekładu *Kroniki* Brygida Kürbis⁷.

Podobny charakter, a i doniosłość nie mniejszą ma inne odkrycie Jerzego Mańkowskiego w tekście Kadłubkowej *Kroniki*. Idzie o tekst z księgi II 9, 4. Ponieważ nie miało ono jeszcze, o ile wiem, większego odbioru, a ma dla mnie ważne znaczenie osobiste, zrelacjonuję je tu nieco obszerniej. Jest to zamieszczone w ofiarowanych mi na 85-lecie *Glosach filologiczno-filozoficznych* studium Jerzego Mańkowskiego *Caecitas i illustratio, bellum bonum i chrzest Mieszka*, komentujące zarówno sam tekst Kadłubkowej relacji o postrzyżynach przyszłego księcia Mieszka I, jak i biblijne oraz późniejsze źródła tej relacji, jak wreszcie na nowo ustaloną datę kalendarzową chrztu nawróconego na chrześcijaństwo księcia polskiego⁸.

Zaczyna się ono od filologicznej analizy krótkiego tekstu (*Dictum vero est Mesca, id est turbatio, quia ceco nascente parentes turbati sunt, vel mistice, quia ab ipso initiata videntur belli spiritualis apud nos seminaria. Per ipsum enim insemminatum est bellum bonum, ut rumperetur pax mala; aut ut forte ait evangelium: non omnes corde in cithara resonant nec quotquot in mysticis ponuntur, mysticum habent intellectum*). Wydawca Kadłubkowej *Kroniki* poprzestaje w komentarzu do tego miejsca jedynie na skonstatowaniu, że podanego przez kronikarza znaczenia imienia Mesca nie potwierdza współczesna nauka. Tłumaczka zaś, oddawszy cały *passus* słowami:

Nazwany zaś został „Mieszka”, to jest „zmieszanie”, ponieważ rodzice skłopotali się, gdy urodził się ślepy. Albo w znaczeniu ukrytym, ponieważ od niego, zda się, rzucony został posiew walki duchowej. Przez niego bowiem zasiane zostało [ziarno] walki dobrej, iżby zerwany był zły pokój. Albo może, jak mówi Ewangelia: „Nie wszystkie struny cytry grają i [z tego], ilekolwiek złożone zostaje w ukrytości, [bynajmniej tyleż samo] nie ma ukrytego znaczenia”.

odnosi się najpierw w komentarzu do etymologii imienia, a następnie, stwierdziwszy brak potwierdzenia Kadłubkowej sugestii w tekście biblijnym, sugeruje potrzebę dalszego poszukiwania jej u komentatorów Biblii. Tak wyposażony przez poprzedników, Jerzy Mańkowski dokonuje przede wszystkim tekstologicznego i semantycznego uporządkowania tekstu, uznając go za *crux philologica*, i odkrywa w nim jeszcze jedno ukryte odesłanie do Biblii, w słowach *Per ipsum enim insemminatum est bellum bonum, ut rumperetur pax mala*, które są kryptocytatem z *Mt.* 10, 34, możliwym do rozszyfrowania dzięki komentarzowi św. Hieronima (*In Mt.* 10, 34). Temu zaś filologicznemu rozszyfrowaniu Kadłubkowego tekstu towarzyszy następnie dociekliwe i trafne umieszczenie go w kontekście

⁶ Z. Kałuża, *Lektury filozoficzne Wincentego Kadłubka*, Instytut Tomistyczny, Warszawa 2014, s. 99–168.

⁷ Mistrz Wincenty Kadłubek, *Kronika polska*, przeł. i oprac. B. Kürbis, Ossolineum – De Agostini, Wrocław 2003, s. 50.

⁸ *Caecitas i illustratio, bellum bonum i chrzest Mieszka*, [w:] *Glosy filologiczno-filozoficzne na marginesie prac Profesora Juliusza Domańskiego w osiemdziesiątą piątą rocznicę Jego urodzin*, oprac. J. Kwapisz, W. Olszaniec, IFK UW – Sub Lupa, Warszawa 2012, s. 81–117 (przedruk w: *Memoriale praeteritorum...*, s. 61–84).

egzegezy biblijnej Hugona ze Świętego Wiktora, czego już tu referować nie będę, dodam tylko, że i ten komentarz Jerzego Mańkowskiego znalazł rychło niezbyt jeszcze bogate echo w badaniach nad Kadłubkową kroniką⁹.

Niech mi wolno będzie zamknąć te dwa przykłady dotyczące publikacji paroma wspomnieniami z rozmów z Jerzym Mańkowskim i cytatami z jego wypowiedzi publicznych. W drukowanym w poprzednim roczniku „Meandra” artykule powołałem się na jedną z takich wypowiedzi, więc już nie będę jej tu powtarzał¹⁰. Utkwiła mi też w pamięci inna, po której żaden ślad nie pozostał. Podczas prezentacji wydanego w roku 2014 ostatniego tekstu naszego wspólnego mistrza, Kazimierza Kumanieckiego, początku fikcyjnego pamiętnika Oktawiana Augusta¹¹, Jerzy Mańkowski przyznał się, że czytając ten tekst przywoływał w pamięci jego łacińskie źródła. W krótkiej wypowiedzi podczas prezentacji nie zdołał powiedzieć nic więcej, zaintrygował mnie jednak tym stwierdzeniem i chętnie bym wtedy czy później usłyszał, jak on te źródła zapamiętał i jakby je *ex promptu* zreferował, wiedziałem bowiem sporo z różnych doświadczeń o jego znakomitej pamięci i jego interpretacyjnej inwencji. Odłożywszy rzecz na później, nigdy jej jednak nie zrealizowałem. Zamiast niezrealizowanej rozmowy przypomnę teraz wspomniane na wstępie zdarzenie, którego świadkami było wielu ludzi. Zilustruje ono i sprawność, i zasięg tej jego pamięci.

Najpierw posłużę się cytatem z jednego z moich wspomnień o profesorze Kumanieckim:

Z kontaktów, jakie z profesorem Kumanieckim miałem w moich latach studenckich, pozostały mi również pewne zasłyszane szczegóły także z jego życia innego niż akademickie. Dobrze pamiętam, że wspomniał mi kiedyś o swojej niezwykle zaiste działalności konspiracyjnej w AK. Polegała ona na redagowaniu i wydawaniu – naturalnie we współpracy z całym zespołem ludzi – niemieckojęzycznego pisma przeznaczonego dla żołnierzy Wehrmachtu i mającego wywierać na nich wpływ destrukcyjny, osłabiać ducha, zaszczepiać w nich zwątpienie i budzić nieufność w zwycięstwo. Dziś rzecz jest dość szeroko znana, kolportaż tego wydawnictwa opisał w swoim *Kurierze z Warszawy* Jan Nowak-Jeziorański, a i inni także ją opisywali. Lecz w tamtych latach znana tak szeroko nie była. Dla mnie [...] była to istna rewelacja¹².

Otóż 17 kwietnia 1997 roku Jerzy Mańkowski, podczas sesji zorganizowanej przez doktora Władysława Pokrywkę, latynistę, a ucznia zarówno profesora Kazimierza Kumanieckiego, jak i doktora Jerzego Mańkowskiego, w II Liceum Ogólnokształcącym im. Stanisława Staszica w Starachowicach w dwudziestą rocznicę śmierci Kazimierza Kumanieckiego, zaprezentował obecnym na tej sesji film zawierający wybrane numery tego okupacyjnego

⁹ Kałuża, op. cit., s. 141.

¹⁰ J. Domański, *Safona – Katullus – Kochanowski. Przekład tekstów i przekład kultur*, Meander 77, 2022, s. 90.

¹¹ K. Kumaniecki, *August*, wyd. A. Zawalska, wstęp K. Marciniak, Instytut Filologii Klasycznej UW, Warszawa 2014.

¹² J. Domański, *Wspomnienie o prof. Kazimierzu Kumanieckim*, Meander 56, 2001, s. 418. Cytuję z przedruku w: id., *Szkice do portretów humanistów XX wieku*, Wydział Polonistyki UW, Warszawa 2017, s. 52–53.

wydawnictwa, z odpowiednią, bardzo interesującą narracją. Dziś już nie pamiętam, czy film ten był jego własnością, czy został skądś wypożyczony. Zapewne jest to do wyjaśnienia.

Niech przypomnienie tej prezentacji uzupełni parę wspomnianych tu szczegółów z profesjonalnej aktywności Jerzego Mańkowskiego tym pozaprofesjonalnym dla filologa-sta-
rożytnika zainteresowaniem historią niedawną.

Juliusz Domański

27 czerwca 2022



1. Ostatnie lata studiów.

Fot. z archiwum rodzinnego

Pan Jerzy

31 października Pan Jerzy ma urodziny. Zawsze będzie je miał, bo tak długo, jak wielu z nas będzie brakować jego żywej obecności, tak długo możemy obchodzić jego urodziny. Właściwie dopiero teraz, w październiku 2022 r., dociera do mnie, że Pan Jerzy „umarł na serio” i że nigdy już nie wymienimy listów, krakowskich kukulek, opowieści o tatrzańskich szlakach, przekomarzań politycznych, porównań uszkodzeń oczu i rdzenia kręgowego; nigdy nie będziemy się już bawić słowami bajek, frazeologią, wspominać umarłych, a czasem nawet nieco żywych i opowiadać o własnych codziennościach: o robieniu dżemów i o pierogach w młynie, o prasowaniu, o białych sufitach neurochirurgii, o jego wnuczce, o mojej córce, o wszystkim.

Pan Jerzy (w chwilach żartownych podpisywał się: „Jurek-Ogórek”) to człowiek – dla mnie – wielkiej serdeczności, bezinteresownej czułości i dobra:

Miła Pani Kasiu – pisał w kwietniu 2019 r. Pan Jerzy w liście do mnie – zdaję sobie sprawę, że mój domysł, iż między ludźmi spotykającymi się w życiu mogą istnieć (wytwarzać się?) więzy (ślady powiązań uczuciowych), które nigdy istnieć nie przestają (nie przestaną?) – iż jest to domysł skażonej (rozregulowanej) psychiki, ale nie pierwszy raz przychodzi mi do głowy takie „podejrzenie”. Śniła mi się dziś osoba, którą widziałem ostatnio w 1956 roku. [...] Kiedy się obudziłem, skonstatowałem, że ci, którzy stają na naszej drodze, stają raz na zawsze i że to czyni nas tymi, kim jesteśmy, a fakt, że możemy łapać się i w snach, daje nam bilet do nieopisanego szczęścia i spokoju.

Moje spotkanie z nim, najpierw jako Wykładowcą, potem już serdecznym Przyjacielem, to jeden z najpiękniejszych podarunków losu. Nie mogę i nie chcę o Panu Jerzym myśleć inaczej jak o Mistrzu, żyjącym literaturą, pracą, niezwykle rzeczowym i uczciwym wobec studentów oraz przedmiotu, którego uczył; jak o Człowieku – wyrozumiałym, serdecznym i mądrym. Człowieku, który zawsze cieszył się ze spotkania innego człowieka, który zawsze pytał o innych, zapamiętywał twarze, był ich ciekaw, więcej – był na nie zachłanny: na rozmowę, kontekst, spacer, lekturę, koncert. Człowieka młodego pytał i o to, czy jadł, i o to, czy i co czytał. Miało się wrażenie, że wszystko pamiętał (i pamiętał!), że wszystko jest w nas ważne i że my jesteśmy ważni. Przy nim nie było się anonimem i nie zostawało anonimowym.

W jego głosie zawsze dominowała łagodność; nie miał zwyczaju chłostać słowem (choć bywał niecierpliwy), chociaż wymagał i jednym spojrzeniem umiał postawić rozmówcę na baczność. Złakniony: ludzi, wiedzy, kontekstów wiedzy, podróży (nawet tych na grochowski bazar); nienasycony: tym, co musi sprawdzić, napisać, pojąć, odpisać, gdzie zdążyć. Zawsze jednak stosowny. Wyczuwał rozmówcę: ile, jak i co chce o sobie powiedzieć; nie naruszał nigdy tej domyślnej granicy i – podejrzewam – oczekiwał wzajemności wobec własnej przestrzeni.

Gdy prowadził zajęcia, punktualne, wyczelowane, precyzyjne (przygotowywał się na nie wciąż od nowa, do każdej grupy niemal osobno, ciągle, jakby samemu sobie nie ufając), zawsze znajdował czas na nowe pomysły, humor, skojarzenia, a nade wszystko – miał szacunek dla ułańskiej fantazji poszczególnych studentów. Pan Jerzy przyjmował nawet najbardziej absurdalną interpretację, jeśli była własna i ciekawa. Nie bał się myśleć i nie obawiał się myślących ludzi. Nigdy nie pouczał, nigdy nie smagał dwójkami, nigdy nie trzeba się było go bać. Jeśli czegoś się bać trzeba było – to siebie – własnych niedoczytań i lapsusów (bo o popełnianiu błędów Pan Jerzy zawsze wypowiadał się pozytywnie, dawał do nich prawo, a nawet zachęcał). Lubił się śmiać. Lubił błyskotliwych ludzi, zaskoczenie; peszyły go tupet i zbyt pewny siebie świat, który rozlicza, wypomina, wpisuje w tabelki i skazuje.

Nie przypominam sobie żadnej jego chwili buty, żadnego zachowania ponad zachowanie pełne zrozumienia dla innych. Widzę postać w szarym garniturze, krawacie, odprasowanej w kancik koszuli; pośpieszną, zdążającą gdzieś Krakowskim Przedmieściem. Postać zaaferowaną czymś, czujną, niespokojną. Postać do tego stopnia wierną elegancji,

że często zastanawialiśmy się, jak „Maniek” (tak go nazywaliśmy) wygląda w zwykłej koszulce polo i czy w ogóle bywa „cywilkiem”. Ten *dress code* też znamionował Pana Jerzego – świadczył o jego szacunku dla Uniwersytetu, studentów, kolegów, o jego mistrzach nie wspominając. Współtworzył skórę stosowności. Był ukłonem w stronę przedwojennej elegancji i odrzuceniem współczesnej bylejakości.

Pana Jerzego prywatnego poznałam dopiero po studiach, gdy zaczęła się nasza przyjaźń – i nie skończy się ona nigdy, mimo że Pan Jerzy zmienił już adres zamieszkania. Mam zresztą nadzieję, że na mnie zechce poczekać.

Inteligentny, niezwykle uważny, emocjonalny, czuły. Tak go zapamiętam. Wiecznie zajęty i wiecznie coś piszący. Żartujący z bajek dla dzieci, które sobie wspólnie tłumaczyliśmy listownie, na przykład z angielskiego (zapewne jako antidotum na ogólną poważność i bufonadę), przeżywający okrucieństwo świata, w ostatnich latach już cierpiący, ale do końca domowy i przyjacielski, chętny do słownych zabaw i do końca aktywny intelektualnie.

Umiał dziękować za wszystko, umiał przeprosić. Umiał się wszystkim cieszyć. Nigdy nie traktował ludzi jak rywali, kiedy mógł, wspierał, polecał. Tworzył wokół siebie jakąś tajemną pajęczynę ludzi o podobnej wrażliwości, pasjonatów; często zagubionych w technologiach i w sobie. Umiał z nimi/nami rozmawiać i zawsze tymi rozmowami nas ocalał.

Nigdy nie okazywał wyższości, a jeśli krytykował coś lub kogoś, to nigdy ów sprzeciw nie miał czemuś lub komuś szkodzić. Miał wzmocnić uwagę, ochronić przed zgubnymi decyzjami lub kompromitacją. Był subiektywną opinią, sugestią, nigdy – wyrokiem.

Pan Jerzy nie miał w sobie nic z aktora. Kulturalny wobec wszystkich: od przekupki do profesora. Nie szeregował ludzi. Nie oceniał ich; raczej próbował zrozumieć, choć czasem to rozumienie oblekało się w zabawną parodię czy opowieść z kluczem.

Potrafił przyznać, że czegoś zapomniał albo nie wie, albo sprawdzi. Potrafił się z siebie śmiać i dziękować za żonę, bez której, jak pisał, „zgubiłyby buty razem ze sznurówkami”. Dawał nam w ten sposób do zrozumienia, że omyłność i niewiedza też są orężem – do szukania, pytań i widzenia siebie też w słabszych momentach. Dawał też sygnał, że ma świadomość swoich wad oraz roli ludzi, którzy te wady pozwalają ukryć.

Pisaliśmy do siebie latami, często kilka razy dziennie. Potrzebowaliśmy siebie, szanując własne terytoria, historie, rodziny i nie wymagając od siebie więcej, niż moglibyśmy sobie ofiarować. Ta czuła bliskość przyjaźni, przywilej takiej przyjaźni to – według mnie – najlepsza wizytówka Nauczyciela, Człowieka. Fakt, że chce się być przy nim zawsze, myśleć tylko dobrze, że chce się do niego odnosić, a jego obecność staje się wzorcem, któremu się chce dorównać.

Pana Jerzego nie zastąpi nikt i nigdy. Dlatego chcę wierzyć, że kiedyś go jeszcze spotkam, a on, jak kiedyś, powie:

Pani Kasiu, obyśmy [...] mogli iść prostą drogą, *via recta*. To nie znaczy „pod linijkę”, ale „taką, która bez błędzenia doprowadza do dobrego celu”.

W kwietniu 2019 roku przeczytałam:

Na mnie [...] śmierć Przyjaciół robi duże wrażenie. Myślę, że na tym świecie nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak rozległe i tajemniczo jesteśmy – ludzie z ludźmi – powiązani.

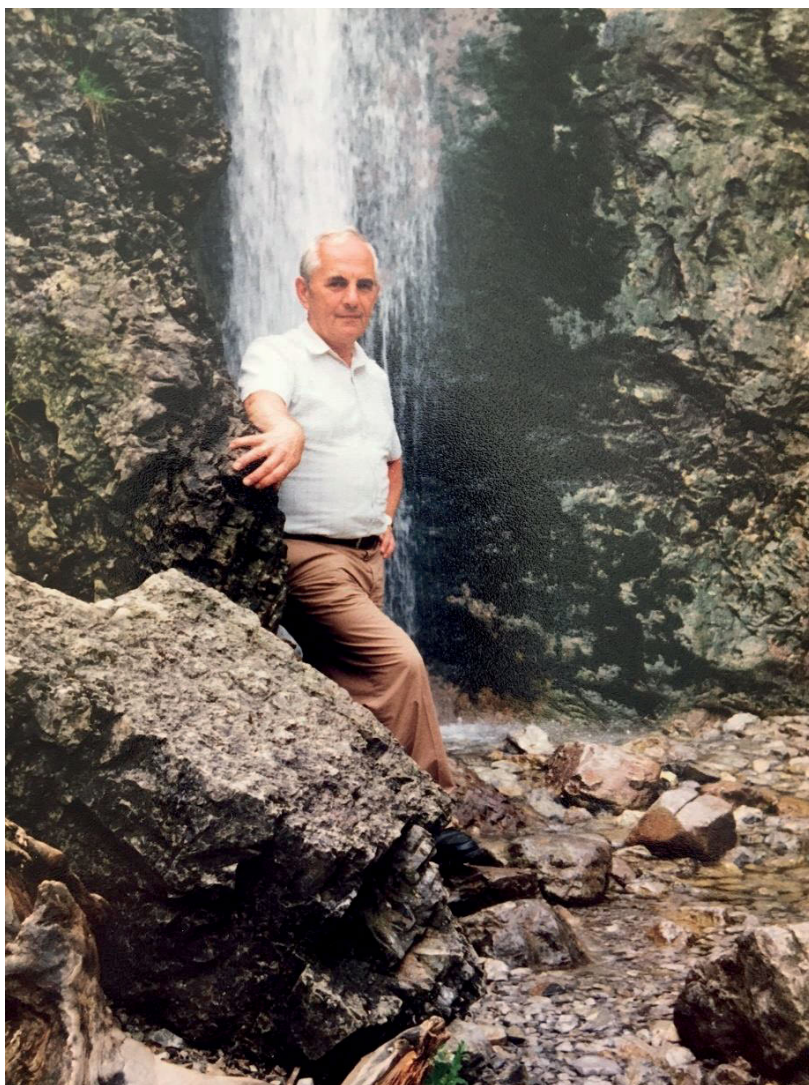
[...]

Zieleń na Mazowszu tej wiosny wspaniała. Ściskam mocno, a co tam. J.

We mnie nieobecność Pana Jerzego „nie odzyskała jeszcze przytomności”. I zapewne nie odzyska.

Katarzyna Golanowska

Kraków, październik 2022



2. W Tatrach, przy wodospadzie Siklawica. 1992 r.

Fot. z archiwum rodzinnego

Nauka słowa – wspomnienie o doktorze Jerzym Mańkowskim

Doktor Mańkowski przez pięć lat był opiekunem naszego roku na studiach filologii klasycznej na Uniwersytecie Warszawskim. Nim zdążyliśmy się nieco lepiej poznać, na początku listopada zaczął się okupacyjny strajk studencki – był to bowiem burzliwy rok 1981. Na strajku my, pierwszorocznicy, wylądowaliśmy niemal wszyscy. W sali na parterze Wydziału Polonistyki odwiedzali nas wykładowcy – organizowali zajęcia, przychodzili porozmawiać, przynosili różne smakołyki. Doktor Mańkowski nie pojawił się ani razu (co nas nieco ubodło), nie bez pewnej racji uznając nasze strajkowanie raczej za chęć wesołego spędzenia czasu niż za wyraz poglądów politycznych. Po ewakuacji strajkujących z uniwersyteckich budynków nastął ponury czas stanu wojennego – na zajęcia wróciliśmy w lutym następnego roku. Dopiero wtedy zawarliśmy bliższą znajomość z doktorem. Nasza szkolna łacina (w grece stawialiśmy pierwsze kroki) okazała się nieco przykrótka jak na uniwersyteckie wymagania. Podczas tłumaczenia tekstów wszystkie moce naszego intelektu wyczerpywały się w trakcie bolesnych prób ustalenia jakiejś linii fabularnej, czyli udzielenia odpowiedzi na siedem pytań rzymskich. W przypadku poezji dochodził do tego rozbiór metryczny, inaczej – jak to określaliśmy zwięźle – postawienie akutusów. Ale na zajęciach z doktorem Mańkowskim wyglądało to zupełnie inaczej, niezależnie od tego, czy na wykładach z literatury greckiej korzystaliśmy z polskich przekładów, czy na ćwiczeniach i, w późniejszych latach, na proseminariach tłumaczyliśmy teksty łacińskie i greckie. Naszym poletkiem było zwykle tylko jedno zdanie, z którego doktor wydobywał słowo po słowie – niekoniecznie w porządku linearnym. Zaczynało się badanie – oglądaliśmy każdy wyraz pod światło i ze światłem, pod mikroskopem i z perspektywy, obracając go w lewo i w prawo. Kiedy wydawał się już całkowicie przepracowany i pozbawiony wszelkich tajemnic, wkładaliśmy go z powrotem do zdania. I wtedy, bęc, okazywało się, że w sąsiedztwie innych wyrazów całkowicie się odmienia (nie, nie mam tu na myśli fleksji). Jeśli chodzi o objętość tekstu, nie odnosiliśmy specjalnych sukcesów. Jednak, co ważniejsze, uczyliśmy się rozumienia słowa i znajdowaliśmy w tym przyjemność – jak przystało na filologów.

Ładnych parę lat później, kiedy skończyłam studia, zaczęłam pracę w instytucie i przeprowadziłam się ze Śródmieścia na Pragę Południe, okazało się, że doktor Mańkowski jest moim sąsiadem z tej samej ulicy. Tak więc oprócz spotkań w IFK zdarzało nam się widywać po sąsiedzku, zwykle w okolicy targowiska na placu Szembeka. Podczas tych targowych pogawędek zauważyłam, że dbałość – może lepszym określeniem byłaby „staranność” – doktora dotyczy nie tylko słów, ale i rzeczy.

– Pani Ingo – mówił na przykład – proszę zobaczyć, jakie w tym stoisku, o tu, kupiłem piękne pomidory! – I wyciągał z siatki dorodną sztukę. – Jaki kolor, najmniejszej plamki, i jak pachną!

Swojski pomidor natychmiast stawał się tym, czym w istocie jest: *un pomo d'oro* – owocem ze złota.

Żadnego spotkania doktor nie omieszkął zakończyć miłym i wyszukany komplementem pod moim adresem. Spośród wszystkich zapamiętałam ten najbardziej cenny, prosty i szczerzy: „Pani Ingo, pani to się nie boi słów!”.

Za tę odwagę słowa, którą zawdzięczam także doktorowi Mańkowskiemu, pozostaje mi podziękować mu po raz ostatni parafrazą jednego z foriceniów Jana Kochanowskiego – czarnoleski poeta dedykował ten wiersz Piotrowi Myszkowskiemu¹³.

Do Jerzego Mańkowskiego

Imię twoje, Mańkowski, na papierze piszę
nietrwiałym. Dobroć, której przejawów nie zliczę
w sercu moim wryta, więc nie zatrze jej czas,
czy wśród żywych wciąż będę, czy przykryje mnie gład.

Inga Grzeźczak



3. W Tatrach, na Gęsiej Szyi, 1998.

Fot. z archiwum rodzinnego

¹³ *Foric.* 82.

W dzień św. Izydora z Sewilli. Wspomnienie o Jerzym Mańkowskim

Jerzego Mańkowskiego poznałem w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy odbywałem studia doktoranckie w Instytucie Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Był wówczas częstym uczestnikiem zebrań naukowych, podczas których dyskutowano referaty dotyczące piśmiennictwa staropolskiego i zagadnień edytorskich. Gdy zabierał głos, zawsze czynił to z niezwykłą życzliwością i uprzejmością, dzieląc się rzeczowymi, wynikającymi z autentycznego zaciekawienia spostrzeżeniami. Te najbardziej zasadnicze poruszał zresztą już w rozmowie prywatnej, by nie onieśmielać publiczną krytyką początkujących badaczy, traktując młodych adeptów filologii z widoczną sympatią i wyrozumiałością. Na mnie i na kolegach duże wrażenie robiła jego przepastna erudycja, łącząca wiedzę o kulturze starożytnej z zainteresowaniami historią czasów jagiellońskich oraz z odczytaniem w literaturze klasycznej, średniowiecznej i humanistycznej.

Wśród swoich naukowych fascynacji wyróżniał kronikę Wincentego Kadłubka (określił go w jednym z prywatnych listów do piszącego te słowa arcymyślicielem i wielkim artystą), ale prawdziwą estymą darzył zwłaszcza twórczość Jana Kochanowskiego, o którym zawsze wypowiadał się ze znanstwem i subtelnością intelektualną, dostrzegając nieoczywiste dla wielu powinowactwa literackie i filozoficzne jego spuścizny z kulturą śródziemnomorską, z których wynikały nieraz zasadniczej wagi wskazówki interpretacyjne. Można powiedzieć, że był w tej materii wirtuozem filologicznych dociekań, choć niechętnie i zwykle dopiero po namowach przelewał swe myśli na papier. Często poprzestawał na ustnym dzieleniu się wiedzą, ciesząc się, że inni korzystają z jego sugestii.

Składając w wydawnictwie w 2008 roku swoją książkę poświęconą gatunkowości poematów Kochanowskiego, nie miałem wątpliwości, że to właśnie Jerzy Mańkowski powinien zaopiniować ją do druku. Zadania tego podjął się z właściwą sobie skromnością, wywiązał się z niego natomiast nad wyraz sumiennie, bezbłędnie wskazując zbyt pochopnie sformułowane a mało przekonujące koncepcje i dzieląc się własnymi przemyśleniami. Z tego czasu zapamiętałem rozmowę o tym, co określił koniecznością uważnego czytania tekstów dawnych, wnikania w sensy archaicznych słów i sformułowań, by dotrzeć do myśli autora zawartych w tworzących tekst zdaniach i dopiero wówczas kusić się o interpretacje. „Filolog to sługa słów i budowanych ze słów tekstów”¹⁴ – zauważył mimochodem w którejś ze swych rozpraw. Ma w sobie to zdanie coś z definicji i coś z imperatywu, określającego podstawową powinność w zawodzie, który uprawiał.

Z podziwu dla osobowości Jerzego Mańkowskiego, ale i z poczucia, że jego rozproszony w periodykach i tomach zbiorowych dorobek nie jest widoczny tak, jak na to zasługuje, zrodził się pomysł zebrania jego studiów i przyczynków. Kiedy pierwszy raz złożyłem Mistrzowi – jak nazywaliśmy go w rozmowach – taką propozycję przed dziesięć laty, początkowo się zapalił, lecz po namyśle wymówił zaangażowaniem w prace nad reaktywowanym właśnie wydaniem sejmowym dzieł Kochanowskiego. Dopiero po jakimś czasie pomysł odżył. Ostatecznie tom ukazał się w roku 2019 pod tytułem *Memoriale praeteritorum. Studia mediewistyczne i renesansowe*. Traktuję tę publikację jako wyraz wdzięczności nie tyle własnej, choć wiele Jerzemu Mańkowskiemu zawdzięczam, ile środowiska, które współtworzył i inspirował.

¹⁴ Zob. niżej, przyp. 26.

Po raz ostatni spotkałem Mistrza na kampusie Uniwersytetu Warszawskiego przy Krakowskim Przedmieściu 4 kwietnia 2019 roku, „w dzień świętego Izydora z Sewilli”, jak wpisał w dedykacji opublikowanej właśnie książki. Był piękny wiosenny dzień, więc usiedliśmy na ławce. Wyjąłem wtedy z torby wyszperane kilka miesięcy wcześniej w antykwaracie jego *Mity i świat Eurypidesa* z 1975 roku, prosząc o jeszcze kilka słów. Trzymając w ręku tę pracę, uśmiechnął się, przypominając sobie seminarium metodologiczne – bodajże prowadzone przez Stefana Żółkiewskiego – na warszawskiej polonistyce, w którym uczestniczył w latach sześćdziesiątych. Jak przyznał, otworzyło go ono na nowe możliwości lektury tragedii greckich, co pozwoliło mu wyjść poza klucze lekturowe oferowane wówczas przez rodzimą filologię klasyczną. Jak stwierdził, od tamtego czasu zawsze ciągnęło go do polonistów, przede wszystkim badaczy epok dawnych. Opowiadał, że szczególnie cenił współpracę z Marią Renatą Mayenową, która zaproponowała mu udział w projekcie wydania dzieł Kochanowskiego. Podczas rozmowy określili poetę nawet czwartym tragikiem (miał na myśli oczywiście *Odprawę posłów greckich*), twierdząc z przekonaniem, że wielkość tego dramatu nie dociera do nas jeszcze w całej pełni.

Nie pamiętam już, w jaki sposób od Kochanowskiego przeszliśmy do jego zainteresowań biografią Jadwigi Andegaweńskiej.

– Wie pan – powiedział wtedy mniej więcej tymi słowami – mimo że moje studium na ten temat ukazało się przed kilku laty¹⁵, to od Jadwigi zaczęła się cała moja przygoda filologiczna.

Tuż po wojnie, gdy był jeszcze nastolatkiem, rodzice wysłali go do miasteczka na targ po zakupy. Zrobiwszy sprawunki, zatrzymał się przy straganie z książkami, gdzie wpadł mu w ręce zeszyt czasopisma „Polonia Sacra” z artykułem Anny Misiąg-Bocheńskiej *Dwie daty z życia królowej Jadwigi*¹⁶. Tak bardzo go zainteresował, że bez zgody rodziców wydał resztę pieniędzy. Jak wspominał, bał się bardzo, że będą się gniewali, ale ucieszyli się, że syn kupił sobie coś do czytania.

– I wie pan – mówił mi wtedy – mnie to zaciekało, że interpretując łacińskie słowa z dokumentów średniowiecznych, ich znaczenie w danym okresie, można ustalać fakty. Wtedy właśnie postanowiłem nauczyć się łaciny.

W podziękowaniu za pomoc w opracowaniu studiów, które złożyły się na tom *Memoriale praeteritorum*, dostałem tego dnia od Mistrza słój miodu malinowego (legenda hagiograficzna powiązała pszczoły ze św. Izydorem), przywiezionego z gospodarstwa w Gorcach. Miły prezent skierował rozmowę na wspólne nam obu zamiłowanie do wędrowek po górskich szlakach, na radość czerpaną z fizycznego zmęczenia, podziwiania majestatu gór i przyrody. Dla Jerzego Mańkowskiego był to chyba najprzyjemniejszy i najbardziej regenerujący sposób spędzania urlopów. Zwłaszcza upodobał sobie Tatry. Jeszcze kilka lat wcześniej, gdy zadzwoniłem do niego późnym latem w sprawie jego artykułu, który właśnie kończyłem redagować, odebrał telefon chyba na Zawracie. Wróciliśmy do tej pasji na chwilę raz jeszcze owego kwietniowego dnia. Przyznał wtedy, że nigdy już w wysokie góry się niestety nie wyprawi ze względu na coraz większe trudności

¹⁵ Zob. niżej, przyp. 25.

¹⁶ A. Misiąg-Bocheńska, *Dwie daty z życia królowej Jadwigi*, *Polonia Sacra* 3, 1949, s. 267–275.

z poruszaniem się. Gdy próbowałem go krzepić nadzieją odzyskania sił, machnął ręką i ze zrezygnowaniem zacytował słowa swojego farmaceuty:

– Będziemy żyć coraz dłużej, ale chodzić będziemy coraz krócej.

Dopytywał się wtedy także, nad czym aktualnie pracuję. Kończyłem wówczas poprawiać artykuł o tendencjach panujących w epice polskiej przed i po publikacji spolszczenia Piotra Kochanowskiego *Jerozolimy wyzwolonej* Torquata Tassa¹⁷. Gdy już wyłuszczyłem główne tezy swojej pracy, skomentował je w kilku zdaniach, dodając od siebie, że lubi wracać do lektury tego utworu:

– Wie pan, jest w tym eposie jakaś wielkość, coś, co sprawia, że w chwilach zniechęcenia do otaczającej rzeczywistości łatwiej odnaleźć poczucie, że warto się trudzić dalej.

Roman Krzywy



4. W Tatrach słowackich, 1998 r.

Fot. z archiwum rodzinnego

¹⁷ R. Krzywy, *L'epica polacca prima e dopo il Gofred (dal Bellum Prutenum di Jan da Wiślica alla Wojna chocimska di Ignacy Krasicki)*, [w:] *L'epica cavalleresca dell'età moderna: un modello europeo. Atti del convegno: Roma, 20–21 settembre 2018*, oprac. M. Wojtkowska-Maksymik, Accademia Polacca delle Scienze, Roma 2019.

Mistrz

Na początku był strach. Wchodzimy do sali 111, nie mieścimy się wszyscy, więc niektórzy (także studenci z innych wydziałów, najczęściej historii) trzymają Goliasa i zeszyty na kolanach. Wyjmujemy materiały z najrozmaitszych toreb, nie zdołaliśmy jeszcze usiąść, kiedy Mistrz krótko i dobitnie pyta:

– Pani Masłowska: *Héna, allá léonta?*

(U Ezopa jest właściwie *allá léonta*, ale tak to zapamiętałam)¹⁸.

Składając w myśli dzięki wszelkim duchom opiekuńczym, w tym Duchowi Świętemu, z którym od dawna mamy szczególną relację, odpowiadam równie błyskawicznie, jeszcze nie usiadłszy na krześle i przeganiając wędrujące po zeszytcie ursynowskie mrówki, których tak się wstydziałam:

– Jedno, lecz lwa!

Zaległa cisza. Na Mistrza nawet nie śmiałam podnieść oczu, ale potem mówiono mi, że był zadowolony. W każdym razie tego dnia przez absolutny przypadek, który sprawił, że poprzedniego wieczora jakoś zetknęłam się z tą frazą (na pewno nie w internecie, bo jeszcze nie istniał), nie poległam.

Mistrz przynosił na obu rękach stopy książek, by wiernie zacytować przepiękne sentencje, unaoczniające mądrość starożytnych. Zaczęłam je notować osobno i uczyć się ich na pamięć. Zresztą inwokacji do *Iliady* musiał się nauczyć każdy, i wszyscy zostaliśmy odpytani (tak wydała mi się piękna, że nauczył się jej także mój mąż, lekko nakłaniany, i to tylko na początku). Podobnie było z pierwszą frazą *Fedona* – Mistrz uznał, że trzeba to pytanie o osobistą obecność przy Sokratesie w owym dniu, kiedy wypił w więzieniu truciznę, znać w oryginale (i Zbyszek ponownie przyznał mu rację – słowa *Autós, ó Faidon, paregónu Sokrátei ekeíne té heméra, hé tó fármakon épien en tó desmoterio, é álly tu ékusas?* jest w stanie powtórzyć jeszcze i dzisiaj)¹⁹.

Potem było oburzenie na niewłaściwy akcent w terminie *metathesis quantitatis* (nawet nie od razu zorientowaliśmy się, o co chodzi, tak dalece było nam w tym względzie wszystko jedno), i pamiętne słowa Mistrza:

– Może niedługo będziecie mówić: „atmósfera nad Bałtykiem”.

Także awantura zakończona moimi łzami, że zdajemy lektury w terminie zajęć z Mistrzem (innych terminów nie było).

A wreszcie na trzecim roku siedziałam sobie na stole na korytarzu i machałam nogami, kiedy Mistrz podszedł i zapytał, czy zainteresowałabym się Amazonkami, bo właśnie wrócił z Wiednia i przywiózł odbitki dwóch angielskich artykułów na temat walecznych kobiet. Zeskoczyłam natychmiast i obiecałam zapoznać się jak najszybciej. Skutek był taki, że nakreśliłszy temat pracy magisterskiej, który miał obejmować wszelkie wzmianki o Amazonkach w obu literaturach. Kiedy jednak termin ukończenia studiów już się o rok przedłużył, Mistrz zgodził się, choć niechętnie, że literaturę łacińską pomijamy. Praca liczyła, o ile

¹⁸ Aes. *Fab.* 257 Perry.

¹⁹ Pl. *Phaed.* 57 a.

pamiętam około 350 stron maszynopisu, została okazana jako *portentum* rektorowi, a także w skróconej wersji opublikowana (wraz z mapami wykonanymi przez małżonka ręcznie, acz profesjonalnie – nie tylko nie było internetu, ale nawet dostępu do mapy obejmującej starożytny świat od Słupów Heraklesa po Ocean Spokojny, dlatego musieliśmy sztukować) w serii „Archiwum Filologiczne”. Ale wcześniej, zanim wszystko, co dobre, dobrze się skończyło, były setki godzin rozmów. Przyjeżdżałam z wózeckiem na zakupy, w którym miałam fiszki, i rozpatrywaliśmy wszelakie zagadnienia: zarówno te dotyczące tematu, jak i mitologiczne wprawdzie, ale „nieco” od niego odbiegające. Kiedy tak któryś już raz siedzieliśmy w pokoju asystenckim, pewna zaniepokojona pani doktor od progu zapytała:

– A co wy się tu tak namawiacie przez tyle czasu? O co w tym wszystkim chodzi?

Mistrz udzielił niewyczerpującej, za to asertywnej odpowiedzi. Kiedy już robiło się późno, wychodziliśmy razem i Mistrz odprowadzał mnie z przystanku na przystanek, bo jeszcze było coś do omówienia. Jak potem słyszałam od znacznie młodszych kolegów z przeróżnych wydziałów, że siedzą sami nad swoją pracą i mogą liczyć tylko na jakieś z rzadka odbywane konsultacje, mówiłam im, że nie mam pojęcia, na co narzekają, że ja miałam towarzysza intelektualnych rozterek, że wymyślałam strukturę sama (narzuciła ją materia, żadnej w tym zasługi), ale przedyskutowywaliśmy wszystko, i to po wielokroć, a myśl płynęła tak swobodnie, jak to tylko możliwe, i początkowo dopuszczano do rozważań wszelkie, najdziwniejsze nawet, koncepcje.

Wydałam na cześć Mistrza wielką kolację. Potem urodził się Tymon (imię, a raczej jego niesłownikowe znaczenie zostało skonsultowane z prof. Adamem Weinsbergiem) i zaczęły się wielkie kłopoty zdrowotne (wada genetyczna). Zrozpaczona i niemyśląca, kiedy jeszcze nie wiadomo było, co mu właściwie jest, dzwoniłam po wszystkich, błagając o jakiś ratunek, i owszem, następnego dnia wieczorową porą Mistrz przyjechał z drugiej strony Wisły wraz ze swoją siostrą, która pracowała w Centrum Zdrowia Dziecka. Choć pomogła dopiero operacja, wizyta była niezwykła o tyle, że łączyły nas absolutnie oficjalne stosunki promotor (nawet nie formalny) i magistrantka.

Z biegiem lat wzajemne wizyty stawały się coraz częstsze: bywaliśmy u Mistrza na imieninach i przy rozmaitych innych okazjach, a nawet i bez okazji, a kiedy pewnego razu na Wielkanoc podejmowaliśmy także rodzinę Mańkowskich w naszym Podkampinosie (po łacinie *Sub Campa Nostra*) i podczas przygotowywania potraw wyłączyli prąd (jak zwykle w najmniej odpowiednim momencie), dodzwoniłam się do Elektryki Pruszków i wielkim głosem wołałam, że ja za parę godzin mam ważnego Gościa, wybitnego uczonego i w ogóle światowa liga, a tu nie ma prądu – wstyd dla Polski, dla powiatu warszawskiego zachodniego, dla Kampinosu i w ogóle... Nie wiem, czy dostatecznie grozę sytuacji przedstawiłam, ale prąd włączyli wcale szybko.

To Mistrzowi zawdzięczałam rekomendację swojej osoby na stanowisko redaktora w wydawnictwie Prószyński i S-ka (zresztą na pogrzebie poprzednika, Jerzego Ciechanowicza), a kiedy doszło do końcowej fazy opracowywania *Praktycznego słownika łacińsko-polskiego*, przygotowanego przez Mistrza i jego małżonkę dla tegoż wydawnictwa²⁰, pracowaliśmy na sześć rąk, więc nocowałam u nich w mieszkaniu, a rano leciałam po bułki, bo Mańkowscy po całonocnej pracy na chwilę przymykali oko. Wcześniej odbywa-

²⁰ Wyd. I: Warszawa 2000, wyd. II: 2001, wyd. III: 2008.

liśmy dłuuuuuugie konsultacje nad kształtem serii „Biblioteka Antyczna”, nad rozumieniem przekładu, nad tym, co tłumaczyć. Dzięki Mistrzowi i Justynie mogłam przejąć pałeczkę po poprzedniku, bo choć odszedł nagle, oboje wiedzieli, co zamierzał, co planował, jak to widział (seria w każdym razie wygląda zupełnie inaczej, niż jej twórca sobie wyobrażał). Pewnego razu Mistrz pomógł także wykryć plagiat, a właściwie hybrydę składającą się z istniejącego już przekładu i własnych wstawek. Innym razem oboje jednak nie daliśmy rady przekonać jednego z tłumaczy, by rozszerzył metrum z jedenasto- do trzynastozgłoskowca, bo bardzo wiele się traci, szczególnie przydawek. Mistrz przyjeżdżał do mnie na Bemowo i tworzyliśmy listę argumentów z przykładami, ale się nie udało.

I w końcu siedzieliśmy koło siebie na spotkaniu, na którym pewien filolog klasyczny przedstawiał swoje łacińskie wiersze. Tam po raz pierwszy powiedziałam do Mistrza: „Mistrzu”. W swojej skromności chyba nawet lekko się skrzywił, no ale tak już zostało. Dobre dwa lata później dotarły do mnie wieści, że jednak bardzo mu się to spodobało, że go ucieszyło, bo był już głęboko na emeryturze, a choć na brak zatrudnień nie narzekał, stwierdził, że dodało mu to nowych sił.

*

Mistrz nauczył mnie staranności, ale takiej dogłębnej, ostatecznej: żeby dotrzeć do drukowanego tekstu, nie polegać na przytoczeniach, nawet na cytatach, żeby zobaczyć wszystko na własne oczy.

Nauczył krytycyzmu wobec autorytetów, bo – to oczywistość – jesteśmy tylko ludźmi i zawsze możemy się pomylić, ale błędy należy likwidować, kiedy tylko się da.

Nauczył dociekliwości: żeby porównywać, co można, żeby gromadzić wiedzę o wszelkich okolicznościach, bo nigdy nie wiadomo, czy jakaś z pozoru drobna informacja nie zyska zasadniczego znaczenia.

Nauczył bezkompromisowości w przedstawianiu swoich racji i bezpośredniości, by wygłaszać je wprost, bez niuansów i układowego politykowania czy zwracania uwagi na środowiskowe zależności.

Nauczył wielogodzinnej pracy i siedzenia, dopóki się nie skończy.

Rozwinął tkwiącą już w człowieku jakąś niezrozumiałą pasję do etymologii.

Wyczulił na pierwsze, podstawowe, znaczenia słów (*sequor* to kroczenie czyimiś śladami, stawianie swoich śladów stóp dokładnie w tym miejscu, gdzie odcisnął ślady poprzednik), z których potem – jak już to sobie uwewnętrznimy – możemy odbiec daleko, ale obraz pierwotnego znaczenia będzie nam skutecznie przynajmniej częściowo ograniczał horyzont, by nie wypływać na nieskończone morze.

Nauczył dostrzegania piękna frazy, części zdania, zdania, akapitu, rozdziału i księgi, wreszcie całego dzieła; także piękna eufonii (Mistrz grał na pianinie).

Pozwolił mniej dziwować się skomplikowaniu współczesnych, powojennych biografii; sprawił, że Katon czasami udawał się na drzemkę.

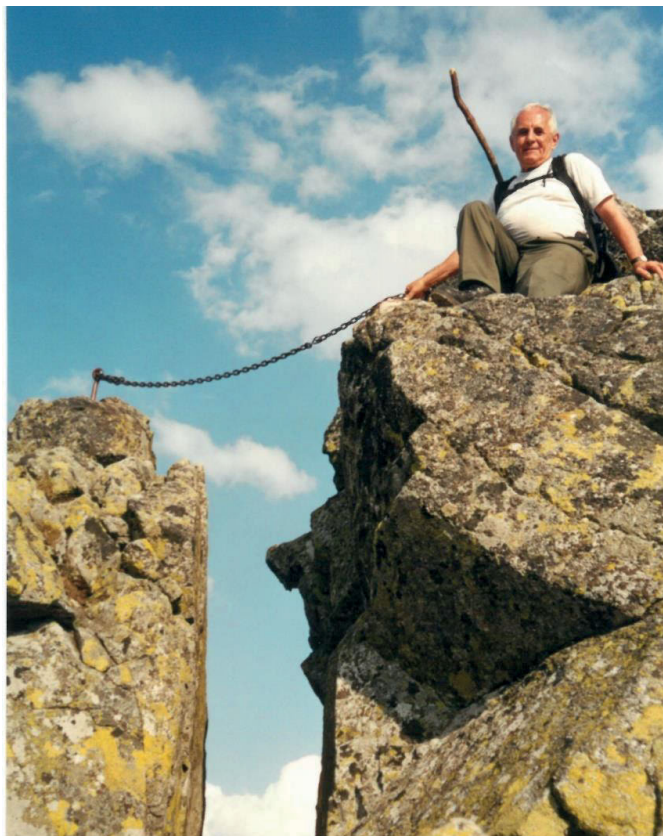
Nauczył pogodzenia się z nudą codzienności, bo w tej codzienności wielkie znajdował upodobanie: w podejmowaniu gości, robieniu przetworów, chodzeniu na bazarek.

Umożliwił zetknięcie się z pamięcią absolutną, niepojętym fenomenem zapamiętywania wszystkiego, co się kiedykolwiek zobaczyło na piśmie, zarazem bez utraty operacyjnego owej pamięci wykorzystywania.

I jedno tylko pociesza: zdążyłam mu o tym powiedzieć.

I jedno już się nie zdarzy: nie przejdziemy na „ty”.

Ariadna Masłowska-Nowak



5. W Tatrach, na Granatach, 2000 r.

Fot. Agnieszka Mitura

Wspomnienie o doktorze Jerzym Mańkowskim

Sierpniowe dni, w które siadam do pisania wspomnienia o doktorze Jerzym Mańkowskim, to czas, w którym moje myśli w sposób szczególnie wędrują ku Tatom. Przez wiele lat bowiem część tego wakacyjnego miesiąca spędzałam na polskich lub słowackich szlakach tych gór. A mogło być całkiem inaczej, gdyby nie pewne spotkanie na zakopiańskiej Cyrhli w sierpniu 2000 roku...

Doktora Jerzego Mańkowskiego poznałam w październiku 1990 roku, gdy rozpoczęłam studia w Instytucie Filologii Klasycznej. Miałam z nim ćwiczenia z praktycznej nauki języka starogreckiego i wykład z literatury greckiej, a także zaliczenie kilku lektur. Myślę, że moje wspomnienia z tego okresu są podobne do wspomnień większości jego uczniów. Pamiętam ciekawe zajęcia, prowadzone z zaangażowaniem i pasją. Pamiętam ciepły uśmiech i życzliwe zagadywanie do nas, studentów, na uczelnianym korytarzu. Oczywiście wyobraźni widzę go, gdy biegnie zdyszany z teczką po schodach, lekko już spóźniony na zaplanowane zajęcia. Z zakamarków mojej pamięci wylania się też nietypowe spotkanie z naszą grupą przy winie w lokalu na Miodowej – a byliśmy wtedy dopiero na pierwszym roku! Cenną dla mnie pamiątką z czasu studiów jest niezwykle sympatyczny list, jaki dostałam kilka tygodni po egzaminie magisterskim. Tu jednak chciałabym się podzielić wspomnieniem z okresu późniejszego, już postudenckiego, kiedy to podczas wakacji miałam możliwość spotkać doktora Mańkowskiego prywatnie i poznać go z całkiem innej, myślę, że dla wielu nieznanej, strony.

To, że pieszce wędrowki są naszą wspólną pasją, odkryliśmy chyba jeszcze podczas moich studiów albo tuż po ich ukończeniu. Pamiętam barwne opowieści doktora Mańkowskiego: o jego przemierzaniu w młodości, z plecakiem na ramionach, Polski *per pedes* i o wakacjach spędzanych w górach. Wtedy jeszcze nie zdawałam sobie sprawy z ogromu kilometrów, jakie przeszedł, i mnogości miejsc, jakie odwiedził. Docierało to do mnie stopniowo w latach późniejszych, gdy na wysyłane przeze mnie SMS-y z pozdrowieniami z różnych zakątków Polski niemal zawsze przychodziły odpowiedzi tego rodzaju: „Byłem tam w lipcu 1951 roku” lub „Pamiętam, jak wyglądało to miasteczko przed czterdziestu ośmiu laty”. Dodam, że dotyczyło to często miejsc mało znanych, nieodwiedzanych masowo przez turystów.

Całkiem nieoczekiwanie okazało się, że w sierpniu 2000 roku oboje znaleźliśmy się w Zakopanem w tym samym czasie. Ja stawiałam wtedy pierwsze kroki na tatrzańskich szlakach i góry te były mi jeszcze całkiem nieznane. Kilka wycieczek, na jakie zabrał mnie wówczas doktor Mańkowski, sprawiło, że zachwyciłam się Tatrami i stały się one nieodłącznym punktem każdych moich wakacji przez wiele kolejnych lat. I choć potem jeszcze kilka razy dane nam było wspólnie wędrować po dolinach i graniach, to właśnie te pierwsze wycieczki zapamiętałam najlepiej. Wspominam je po latach i śmiało mogę stwierdzić, że były one dla mnie niewątpliwie kompleksową górską inicjacją.

Na rozgrzewkę udaliśmy się wówczas do sanktuarium Matki Bożej na Wiktorówkach, a stamtąd powędrowaliśmy na Gęsią Szyję, skąd rozpoznawaliśmy poszczególne szczyty rozległej panoramy. A tak dla ścisłości: pan Mańkowski większość szczytów potrafił nazwać z głowy, a ja robiłam to z pomocą schematycznego rysunku w przewodniku. Na Polanie Waksmundzkiej dowiedziałam się wówczas, jak odróżnić limbę od zwyczajnej sosny – od tamtej pory zawsze ze wzruszeniem mijam rosnące tam wciąż drzewo, przy którym mój Towarzysz przeprowadził te botaniczne ćwiczenia praktyczne. Pod czujnym okiem Doświadczonego Turysty zaliczyłam też pierwszą prawdziwie wysokogórską wyprawę na Granaty, a także posmakowałam Tatr Słowackich podczas niezwykle długiej przeprawy przez przełęcz Polski Grzebień. Nie zabrakło również doznań kulinarnych: po zdobyciu szczytu czy przełęczu pan Jerzy zawsze wyciągał z plecaka wielki termos i degustowaliśmy smakowitą ziołową herbatę z miodem, a w słowackich schroniskach robiliśmy ranking zup czosnkowych – i zgodnie uznaliśmy, że najlepsza była w Szarotce!

Każdy, kto znał doktora Mańkowskiego, może też sobie z łatwością wyobrazić, że wszystkie te nasze wspólne wędrowki okraszone były barwnymi gawędami na rozmaite tematy. Widać było, że jest zafascynowany górami, i to nie tylko samymi szlakami i widokami, ale też ludźmi gór i górską literaturą. Z zaciekawieniem słuchałam jego pełnych pasji opowieści: o wyprawach ratunkowych GOPR, o tajemniczych wypadkach na szlakach i o nocowaniu w skalnych kolebach. Były też i refleksje dotyczące różnych ważnych wydarzeń społecznych i politycznych – pamiętam, jak ogromne wrażenie sprawiło na mnie wtedy stwierdzenie, słyszane potem jeszcze kilkakrotnie:

– Najważniejszym wydarzeniem mojego życia był wybór Karola Wojtyły na papieża.

Jak kadry z pięknego filmu przesuwają się przed moimi oczami zabawne często chwile z tamtych wycieczek.

– Zatrzymajmy się na moment – usłyszałam w ciemności, gdy zbliżyliśmy się do Łysej Polany wracając późną porą ze Słowacji. Posłusznie stanęłam, sądząc, że przerwa spowodowana jest chęcią odpoczynku. A tu pan Jerzy wyciąga z kieszeni grzebień i mówi:

– Muszę się uczesać, bo mnie celnik nie pozna.

Było to jeszcze w czasach kontroli paszportowych na granicy. Zdarzały się też chwile grozy, gdy na przykład ciemną nocą wracaliśmy przy latarkach Doliną Suchej Wody z Murowańca, nasłuchując, czy z lasu nie dobiegają niedźwiedzie pomruki, lub gdy cudem złapaliśmy na Łysej Polanie okazyjny transport do Zakopanego pół godziny przed północą! W pamięci na zawsze pozostanie mi obraz uśmiechniętego pana Jerzego z kosturem (w późniejszych latach został on zastąpiony nowoczesnym kijem trekkingowym), ogromnym plecakiem i kultowym dla górolazów przewodnikiem Józefa Nyki pod pachą. Warto dodać, że ten jego przewodnik zawierał masę odręcznych zapisków na marginesach i liczne luźne karteczki z zanotowanymi uwagami na temat szlaków, godzinami odjazdu busów na Słowację i innymi przydatnymi wiadomościami.

Chyba wszyscy pamiętamy go jako Człowieka niezwykle otwartego na innych i łatwo nawiązującego kontakty. W górach także chętnie wdawał się w pogawędki z napotkanymi turystami, dzieląc się z nimi swymi spostrzeżeniami, a także z zainteresowaniem słuchając, co ciekawego mają do powiedzenia. Zawsze też był gotów pomagać: pamiętam sytuację, gdy na szlaku spotkaliśmy dwójkę młodych ludzi zastanawiających się na rozstajach dróg, dokąd warto pójść. Pan Mańkowski wprawnym okiem ocenił ich możliwości, doradził, a gdy okazało się, że nie mają mapy, oddał im swoją.

Ostatnia nasza wspólna wędrowka miała miejsce w lipcu 2006 roku – zdobyliśmy wtedy Lodową Przełęcz, wspinając się na nią mozolnie po osypujących się piargach i płatach śniegu, którego sporo jeszcze leżało powyżej uroczo położonego schroniska w Dolinie Pięciu Stawów Spiskich. Z lat późniejszych pozostała mi miła i cenna pamiątka w postaci kilku pocztówek z tatrzańskimi pozdrowieniami, zaczynających się od słów: „Droga Towarzyszko Wypraw” i zawierających dokładne opisy górskich wycieczek. Nie mogę się nie uśmiechnąć, gdy po latach na odwrocie jednej z nich czytam:

Wjechaliśmy na Hrebienok o 12.07, przy mostku na Staroleśnym Potoku byliśmy o 13.40, a o 14.30 minęliśmy ten odcinek z łańcuchami i zbliżyliśmy się do tej kładki przez potok, za którą złapał nas kiedyś przelotny deszczyk...

Zawsze też chętnie słuchał moich wakacyjnych opowieści, najpierw górskich, a potem rowerowych, i z zainteresowaniem oglądał przesyłane drogą mailową fotorelacje.

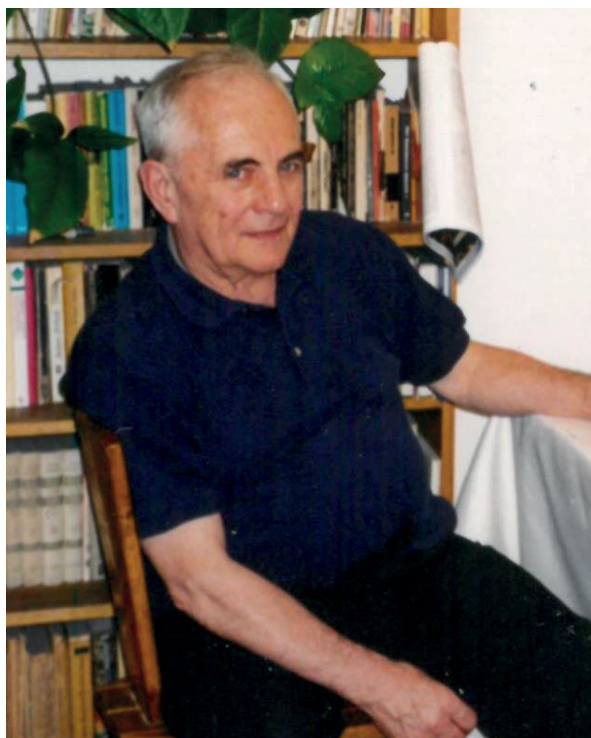
Gdy 28 sierpnia 2021 roku spotkaliśmy się po raz ostatni, wybraliśmy się do parku.

– To dokąd dziś idziemy? Może do Doliny Lejowej? – zapytałam żartem.

– Może być Lejowa – odpowiedział doktor Mańkowski. – Bo tam jeszcze nigdy nie byliśmy...

Towarzyszu Wypraw, dziękuję za wspólne dni spędzone w Tatrach i dzielenie się ze mną fascynacją tymi górami. Raduj się teraz wędrówką po niebieskich graniach, zbieraj sierpniowy dziurawiec na podniebnych łąkach i spoglądaj czasem w dół na nasze prze-wędrowane razem szlaki...

Agnieszka Mitura



6. W domu, 2005 r.

Fot. z archiwum rodzinnego

Tylko jeden taki Jerzy

Doktora Jerzego Mańkowskiego poznałem wiosną 1990 roku, kiedy przyszedł z wykładem na temat *Iliady* do mojej klasy – o profilu klasycznym – w warszawskim liceum im. Mikołaja Reja. Wielkie wrażenie zrobiło na mnie to, co mówił o gniewie Pelidy na

skamandryckich równinach, o przebaczeniu i jego braku. Pamiętam też z tego wykładu drobnostki filologiczne, na przykład uwagę o pokrewieństwie *fides* i *foedus*. Doktor Mańkowski mówił to wszystko z niesłychaną żywiołowością, wręcz zanurzając się w temacie. Ta żywiołowość w prowadzeniu i – jak sądzę – przeżywaniu zajęć była jego cechą szczególną, rozpoznawalnym znakiem dla każdego, kto w nich uczestniczył.

Nasze następne spotkanie miało już miejsce na Uniwersytecie Warszawskim; zaczynałem studia od drugiego roku i musiałem pytać wykładowców, czy mogę uczestniczyć w ich zajęciach. Podszedłem i do pana Mańkowskiego, który na mój widok rozpromienił się i wykrzyknął:

– Pan jest z Reja!

Nie wiem, w jaki sposób mnie zapamiętał, ale to spotkanie też było dla mnie niezwykle.

W czasie moich studiów doktor Mańkowski prowadził dla mojego rocznika zajęcia praktycznej nauki języka greckiego, cztery godziny w tygodniu, i wykład z literatury greckiej. Wykład pogłębił to, co pan Mańkowski mówił w Reju o Homerze, i zahaczył o tragików greckich, głównie o Ajschylosa. Gramatyka grecka – a pamiętam szczególnie drugą koniugację – była przekazywana nam dokładnie, tak jednak, aby nie była nudna. Pamiętam jedną z uwag pana Mańkowskiego, dotyczącą właśnie koniugacji drugiej:

– Jeśli ktoś się jej teraz wyuczy, to zapamięta na całe życie.

Jak na razie te słowa się sprawdzają. Wykładowca był zawsze doskonale przygotowany, a w czasie tych zajęć poznałem jeszcze jedną jego cechę: umiejętność przyznania się do niewiedzy. Czasami pan Jerzy mówił:

– Musimy sprawdzić to w słowniku czy konkordancji – i sprawdzał przy nas. To, myślę, rzadka cecha wśród nauczycieli, a przecież budząca szacunek wśród studentów.

Pamiętam z tych zajęć opowieści o różnych słowach, na przykład o czasowniku βάλω u tragików czy o formach *optativu* w różnych tekstach. Czasami te opowieści zajmowały prawie całe dwie godziny, a czasami były kontynuowane, kiedy już wychodziliśmy z sali. Znowu dawała o sobie znać żywiołowość i pasja pana doktora. Zacząłem też chodzić na zajęcia z Horacego, które pan Mańkowski prowadził, ale musiałem z nich zrezygnować ze względu na nawał pracy, którą miałem do wykonania podczas moich pierwszych dwóch lat na uczelni.

Mieliśmy też z panem Jerzym proseminarium greckie, na którym śledziliśmy przymiotnik *σπουδαῖος* od liryki archaiczej aż do Nowego Testamentu. Mieliśmy i zajęcia z *Ajasa* Sofoklesa, bardzo wszechstronne, obejmujące i tekst tragedii, i jej przedstawienia w sztuce.

Po studiach moje kontakty z Jerzym Mańkowskim nieco się rozluźniły, ale po jakimś czasie przeszły w formę e-mailową. Pamiętam, że zaczęło się od wersu z *Odysei*, którego struktura metryczna sprawiała mi kłopot, i wspólnieśmy się nad nim głowili. Nasze e-mailowe dyskusje miały różną tematykę, od Homera do Jana Kochanowskiego. Pan Mańkowski był dokładnym czytelnikiem i kiedy na przykład podpisywałem się jako *Aconitum napellus*, dowcipnie to komentował albo wprowadzał coś podobnego do swojego podpisu. W tym dokładnym czytaniu wszystkiego był przecież, jak najbardziej, filologiem.

Kiedy myślę o moich studenckich czasach, dochodzę do wniosku, że w Instytucie Filologii Klasycznej miałem tylko jednego prawdziwego nauczyciela – a był nim właśnie Jerzy Mańkowski.

Marcin L. Morawski



7. Boże Narodzenie, 2006 r.

Fot. z archiwum rodzinnego

Jerzy Mańkowski – humanista

Wypowiedź ta ma charakter osobisty, bo śp. Jerzy Mańkowski był dla piszącej te słowa Osobą szczególnie bliską wśród Kolegów uniwersyteckich, chociaż bliskość ta nie wymagała częstych kontaktów osobistych, opierając się na zaufaniu do Człowieka o niezwyklej transparenacji etycznej i wierności wyznawanym wartościom. Z wdzięcznością myśląc o dobru, jakim mnie obdarzał przez lata współpracy, pragnę rozważyć właściwości jego humanistycznej postawy.

Przede wszystkim – nierozłączność, jedność życia i studiów. Przejawiała się ona w wyjątkowej uważności na wszystkie dane, które mogłyby wzbogacić wiedzę o badanych zagadnieniach. Znamienny tego przykład znajdujemy w dedykowanym Jerzemu Axerowi studium *Kot, ale czy zwierzę?*²¹, gdzie wyeksponowana została – obok perfekcyjnie przeprowadzonej kwerendy leksykograficznej – informacja zdobyta w czasie epizodycznej zapewne wycieczki do Muzeum Beskidzkiego w Wiśle. Pozwoliła ona wyjaśnić idiomy narosłe w polszczyźnie wokół kota, obok których poprzednicy przechodzili lekką stopą, nie odczuwając imperatywu pełnego zrozumienia tekstów (na przykład Kochanowskiego), w których się pojawiały.

²¹ *Kot, ale czy zwierzę?*, [w:] *Birthday Beasts' Book. Where Human Roads Cross Animal Trails. Cultural Studies in Honour of Jerzy Axer*, oprac. K. Marciniak, IBI AL – Wydawnictwo „Wilczyśka”, Warszawa 2011, s. 181–191 (przedruk w: *Memoriale praeteritorum...*, s. 285–294).

Nieustanna aktywność poznawcza badacza przejawiała się w gotowości do rozmowy o problemach, które starał się rozwiązać, we wszystkich okolicznościach. Ostatnie nasze spotkanie, zdominowane przez dyskusję o elementach tragizmu w *Odprawie posłów greckich*, odbyło się... na dworcu kolejowym. Echa tej rozmowy utrwaliła znakomita rozprawa *Decyzja Priama – mythos i fatum w Odprawie posłów greckich*²². Zaskoczyła mnie wówczas znajomość drobnych i peryferycznych nawet uwag o utworze Kochanowskiego, jakie znalazły się w onegdajszych moich artykułach. Podobną atencję okazywał Uczony całej literaturze przedmiotu, dawnej i współczesnej, traktując poczynione ustalenia jako dobro wspólne, zasługujące na dogłębne poznanie, rozważenie i weryfikację. Postawa ta upodabniała go do humanistów renesansowych, znawców i miłośników *litterae*. Znamienne, że szacunek dla dziedzictwa intelektualnego nie tłumił czujnego krytycyzmu, wyrażanego jednoznacznie, pozbawionego zarówno hipokryzji: „jestem za, a nawet przeciw”, jak tonów wojujących, uderzających *ad hominem*. Był wierną realizacją zasady: *amicus Plato, sed magis amica veritas*.

Integralność humanizmu Jerzego Mańkowskiego opierała się na podstawach etycznych. Prawda i dobro nie należały do retorycznego *ornatum*, lecz pozostawały rzeczywistymi kryteriami dokonywanych wyborów. Świadectwem tego epizod sprzed lat, być może nieznanymi: zdecydowana odmowa przyjęcia oferowanego przez wydział stanowiska profesora, motywowana przeświadczeniem, że tytuł doktora nauk humanistycznych jest wystarczająco prestiżowy i cenny. Zachowanie tak daleko idącej niezależności od reguł rządzących karierą uniwersytecką to nieczęsta demonstracja wolności humanisty.

Dystans wobec mechanizmów życia akademickiego przejawiał się również w stabilności postawy naukowej. Kolejne mody metodologiczne miały obok „zwroty” proklamowane z nagłośnieniem przebrzmiewały, a praca badawcza Jerzego Mańkowskiego podążała własnym torem, wyznaczonym przez filologię czerpiącą z najczystszych źródeł renesansowych. Nie ograniczały jej XX-wieczne, post-pozytywistyczne formuły historycznoliterackie. W centrum pozostawał tekst traktowany z całą powagą jako wypowiedź uobecniająca autora i niosąca z sobą wszystkie nadane mu historycznie znaczenia. Wyznaczały one zakres badań, obejmujący język, warstwę inwencyjną, sięgającą antyku, *dispositio* jako autorski projekt intelektualny oraz *elocutio* służące celowi perswazyjnemu dzieła. Objaśnienie tekstu wymagało zatem kompetencji lingwistycznych, retorycznych i genologicznych, znajomości poetyki, kontekstów ideowych, przede wszystkim filozoficznych i teologicznych, oraz biograficznych, które umożliwiały rekonstrukcję sytuacji kulturowej, doświadczeń peregrynackich czy też relacji personalnych – rodzinnych, klientalnych, edukacyjnych, przyjacielskich. Wymagało także znajomości arkanów tekstologii i bibliologii, niezbędnych do odtworzenia tradycji tekstu.

Czytelnik rozpraw Jerzego Mańkowskiego podziwia jego wiedzę we wszystkich tych dziedzinach, zagarniającą antyk i średniowiecze (pierwsza część eseju o polskiej recepcji historii trojańskiej, zatytułowana „Znajomość eposów Homerowych w Polsce w wiekach średnich”; *Krak, uczeń Sokratesa (glosa do Kadhubka Chronica Polonorum I 5, 3)*; *Jeszcze o wpływie Kalcydiuszowego Timajosa i Policraticusa Jana z Salisbury na Kronikę Kad-*

²² *Decyzja Priama – mythos i fatum w Odprawie posłów greckich Jana Kochanowskiego*, *Terminus* 10, 2008, nr 2, s. 15–28 (przedruk w: *Memoriale praeteritorum...*, s. 237–248).

hubka²³), a imponującą w odniesieniu do czasów renesansowych (pozostała część pracy o znajomości historii trojańskiej w Polsce; *Korespondencja Samuela Maciejowskiego z Janem Dantyszkiem jako źródło do dziejów kultury politycznej; Moderator i filozof. O dziele Wawrzyńca Goślickiego*²⁴); gdy trzeba – etymologiczną lub etnologiczną (*Kot, ale czy zwierzę?*). Wzorcowym studium tekstologicznym jest *Rękopis BOZ 206. Autograf Jana Kochanowskiego*, rozprawa zaś poświęcona królowej Jadwidze (*Dzień urodzin królowej Jadwigi Andegaweńskiej i dzień jej ślubu z Władysławem Jagiełłą w kontekście aktu krewskiego*) powinna się znaleźć w kanonie lektur studentów historii jako przykład właściwej, bo uzbrojonej w instrumenty filologiczne, interpretacji źródeł²⁵. Dodajmy: pasjonującej jako lektura wręcz detektywistyczna.

Godne podkreślenia, że ekspozycja tej wiedzy – zawsze moderowanej charakterem badanego tekstu – nie skłaniała badacza do deklaracji metodologicznych. W studiach o szerokim horyzoncie interdyscyplinarnym i komparatystycznym nie znajdziemy dywagacji o sposobie łączenia elementów różnych nauk czy też o procedurze porównawczym. Metodę wyznaczał sam tekst, wobec którego badacz pełnił powinność służebną, nie dopuszczając instrumentalizacji i manipulowania, lecz wymagającą osiągnięcia najwyższych standardów poznawczych. Jeden z rzadkich, lecz jakże wymownych autokomentarzy kryje się między wierszami studium o dniu urodzin i ślubu Jadwigi:

Filolog, sługa słów i budowanych ze słów tekstów, musi [...] zauważyć, że *tunc* nie ujmuje czasu punktowo, nie wskazuje na jakiś jeden tylko moment; zaimek ten osadza wydarzenie, o którym mowa, w dość szerokim kontekście czasowym ('wówczas, w owym czasie, w zaistniałej sytuacji'). [...]

Trzeba owo *tunc*, nawiązujące do czasu, do okoliczności, do warunków podanych w kontekście, zobaczyć w innych zdaniach z epoki, by upewnić się, że nie oznacza ono jakiegós krótkiego odcinka czasu [...]²⁶.

²³ *Historia trojańska w literaturze i kulturze polskiej wieku XVI*, Meander 17, 1962, s. 137–147 (przedruk w: *Memoriale praeteritorum...*, s. 7–17); *Krak, uczeń Sokratesa...*; wypowiedzi w dyskusjach konferencyjnych zamieszczone w: Onus Athlanteum. *Studia nad Kroniką biskupa Wincentego*, oprac. A. Dąbrowka, W. Wojtowicz, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2009, s. 67–69, 152, 467–469 (przedruk jako: *Jeszcze o wpływie Kalcydiuszowego Timajosa i Policraticusa Jana z Salisbury na Kronikę Kadlubka*, [w:] *Memoriale praeteritorum...*, s. 183–236).

²⁴ *Historia trojańska...*, s. 252–268, 360–368 (przedruk w: *Memoriale praeteritorum...*, s. 17–60); *Korespondencja Samuela Maciejowskiego z Janem Dantyszkiem jako źródło do dziejów kultury politycznej*, [w:] *Listowne Polaków rozmowy. List łacińskojęzyczny jako dokument polskiej kultury XVI i XVII wieku*, oprac. J. Axer, J. Mańkowski, IFK UW – Fundacja Aletheia, Warszawa 1992, s. 58–66 (przedruk w: *Memoriale praeteritorum...*, s. 295–304); *Moderator i filozof*, [w:] *O senatorze doskonałym studia. Prace upamiętniające postać i twórczość Wawrzyńca Goślickiego*, oprac. A. Stępkowski, Kancelaria Senatu, Warszawa 2009, s. 95–116 (przedruk w: *Memoriale praeteritorum...*, s. 305–324).

²⁵ *Rękopis BOZ 206. Autograf Jana Kochanowskiego*, Rocznik Biblioteki Narodowej 37–38, 2006, s. 33–44 (przedruk w: *Memoriale praeteritorum...*, s. 137–153; zob. też niżej); *Dzień urodzin królowej Jadwigi Andegaweńskiej i dzień jej ślubu z Władysławem Jagiełłą w kontekście aktu krewskiego. Uwagi filologa do interpretacji źródeł*, Rocznik Lubelskiego Towarzystwa Genealogicznego 5, 2013 (2014), s. 27–71 (przedruk w: *Memoriale praeteritorum...*, s. 101–136).

²⁶ Cytat ze zbioru rozpraw *Memoriale praeteritorum...*, s. 106 (= *Dzień urodzin królowej Jadwigi...*, s. 33). Powołujemy się na studia zawarte w tym zbiorze, który obejmuje część tylko dorobku badacza.

„Filolog, sługa słów i budowanych ze słów tekstów” to istota tożsamości badawczej Jerzego Mańkowskiego. Z niej rodziły się pokora, determinacja, rygorizm, ale przede wszystkim niezwykła empatia wobec badanych dzieł oraz ich twórców, otwierająca przestrzeń dialogu humanistycznego – ponad czasem i przestrzenią – z autorem uobecnionym w tekście. Poruszająca jest głęboka więź z Janem Kochanowskim, któremu Uczony poświęcił wiele odkrywczych rozpraw i znakomicie wnikliwych interpretacji. W Janie z Czarnolasu rozpoznał bratnią duszę, może nawet *alter ego* filologa (por. cykl „ustaleń, pytań, perspektyw”: „Twórca-filolog, twórca-imitator”, „Ponad przedziałami czasów i kultur”, „Translacje, czyli jakoby przekłady”, *Odprawa posłów greckich*²⁷). Rozmawiał z nim poufnie podczas „czułych nocy”, jak Petrarca i jego współcześni z Platonem czy Sokratesem, o sprawach najważniejszych w ludzkim życiu: godności mędrca w błazeńskim teatrze doczesności, wolności człowieka rozumem nadanego wobec fatum, przyjaźni miłośników mądrości, a także – o kobietach. Szczególnym tego świadectwem jest studium poświęcone żonie Mikołaja Trzebuchowskiego *Nowa Alcestis. Kobieta sportretowana we Fraszkach (II 67 i 68)*²⁸. Odślania ono portret niewiasty zdumiewająco niezależny od przeciwnych sobie, lecz w istocie komplementarnych konwencji *donna angelicata* i dziewczka „dobrym towarzyszom gwoli”, jakie dominowały w czasach Kochanowskiego. Całkowicie też odmienny – dodajmy – od dzisiejszych stereotypów feministycznych, które chyba nie były miłe Uczonemu, co być może podpowiedziało temat rozprawy.

Sugestię tę – zbyt może dowolną – niech usprawiedliwi przekonanie, że studia Jerzego Mańkowskiego, aczkolwiek skupione na przedmiocie badań, strzegące się subiektywnych komentarzy i aluzji do współczesności, kryją w sobie głębokie zaangażowanie w sprawę ludzkie, postrzegane i oceniane *sub specie* wartości etycznej. Te zaś pozostają w istocie niezmiennie, mimo zmiany historycznego kostiumu. Można wierzyć, że teraz przygląda się im Uczony wraz z czarnoleskim poetą z perspektywy wieczności:

O żywocie ludzkim (Fraszka 1 Ksiąg I)

Wieczna Myśli, któraś jest dalej niż od wieka,
 Jesli cię też to rusza, co czasem człowieka,
 Wierzę, że tam na niebie masz mięsopust prawy
 Patrząc na rozmaite świata tego sprawy.
 Bo leda co wyrzucisz, to my, jako dzieci,
 W taki treter, że z sobą wyniesiem i śmieci.
 Więc temu rękaw urwą, a ten czapkę straci;
 Drugi tej krotochwile i włosy przyplaci.
 Na koniec niefortuna albo śmierć przypadnie,

5

²⁷ *Jan Kochanowski – filolog (ustalenia, pytania, perspektywy)*, [w:] *Humanizm i filologia*, oprac. A. Karpiński, Neriton, Warszawa 2011, s. 101–172 (przedruk w: *Memoriale praeteritorum...*, s. 183–236).

²⁸ *Nowa Alcestis. Kobieta sportretowana we Fraszkach (II 67 i 68)*, [w:] *Jan Kochanowski 1584–1984. Epoka – twórczość – recepcja*, t. I, oprac. J. Pelc et al., Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1989, s. 245–274 (przedruk w: *Memoriale praeteritorum...*, s. 154–182).

To drugi, choćby nierad, czacz porzuci snadnie. 10
Panie, godno li, niech tę rozkosz z Tobą czuję:
Niech drudzy za łby chodzą, a ja się dziwuję.

Alina Nowicka-Jeżowa



8. Na jagodach w Urlach, 2008 r.

Fot. Agnieszka Mitura

Jerzy, mistrz przetworów i górskich wędrówek

[...] Ponad doliną się rozwiesza
srebrzystoturkusowa cisza
nieba w słonecznych skrach.

Patrzę ze szczytu w dół: pode mną
przepaść rozwarła paszczę ciemną –
patrzę w dolinę, w dal:

i jakaś dziwna mię pochwyca
bez brzegu i bez dna tęsknica,
niewysłowny żal...

Kazimierz Przerwa-Tetmajer,
Widok ze Świnicy do Doliny Wierchcichej

Korzystając z tej niezwyklej okazji, pragnę podzielić się z Tobą, Szanowny Czytelniku, dwoma wspomnieniami o moim Tacie. Pierwsze z nich wiąże się ściśle z tematyką kulinarną. Niewiele osób wie, że Jerzy Mańkowski, z racji swojej wszechstronnej wiedzy naukowej w obszarze kultury antycznej i średniowiecznej nazywany przez niektórych „Mistrzem”, był jednocześnie specem od naleśników. Podawał je zawsze jak w najlepszej restauracji, to znaczy na rozgrzanym talerzu, by zbyt szybko nie stygły, z dżemem własnej roboty. Dżemy powstawały co roku w pokaźnych ilościach i w dużej różnorodności smaków, wyłącznie z owoców ze sprawdzonych źródeł – z rodzinnych upraw (bliższych lub dalszych), własnych zbiorów z mazowieckich lasów w okolicy Krężła i Garbatki albo od zaufanych dostawców z Bazaru Szembeka na warszawskim Grochowie, których dzięki swojemu talentowi do nawiązywania znajomości Tata poznawał, a kontakty te utrzymywał przez długie lata.

Historia ta byłaby być może zwyczajna, gdyby nie metoda dalszego przetwarzania zdobytych owoców. Po ich starannym umyciu i osuszeniu, pieczołowicie i z niebywałą cierpliwością każda porzeczką oddzielana była od gałązki, każda wiśnia drylowana, a gniazda nasienne jabłek i gruszek usuwane. Krótko mówiąc – nie było tam miejsca na fuszerkę. Proporcje owoców musiały być odpowiednio dobrane i odważone, a na słoiku nie widniał jedynie napis: „Dżem brzoskwinowy”. Bogatym w smaku przetworom wewnątrz słoików towarzyszył na zewnątrz precyzyjnie opisany skład, który w przypadku sukcesu wytwórczego miał posłużyć jako wskazówka produkcyjna w kolejnych latach. Dla przykładu:

14 sierpnia 2018

brzoskwinie rozdrobnione – 0,57

„ufo” rozdrobnione – 0,13

sok z jabłka, brzoskwiń i „ufo” ze skórkami – 0,22

cukier – 0,4

żelfix 2:1.

W podobny sposób Tata opisywał soki, które w sezonie letnim wytwarzał w równie wielkich ilościach. Przetworami zajmował się nawet w osiemdziesiątym piątym roku życia, nadal czerpiąc radość z tej czynności. Oczywiście nie należy zatajać, że czasochłonność i duża obszarowość owej produkcji dawała się we znaki pozostałym domownikom, uniemożliwiając im swobodne korzystanie z kuchni. Sytuacja ta miała na szczęście charakter przejściowy, a wyniki były na tyle satysfakcjonujące, że związane z nią niedogodności dawało się jakoś zaakceptować.

Tata miał wiele zainteresowań i nie sposób wspomnieć tu o nich wszystkich. Natomiast to, o czym chcę napisać, to fakt, że należał do wytrawnych piechurów górskich i nizinnych. Obcowanie z przyrodą, zwłaszcza wysokogórską, sprawiało mu wyraźną i ogromną przyjemność. Tatrzańskie szlaki przemierzał regularnie, zawsze ze znalezionym w lesie porządnym górskim kijkiem – naturalnym, niezawodnym wsparciem w wędrowce, mapami topograficznymi (najlepsze były wojskowe „dziesiątki”, czyli te w skali 1:10 000, na których widniało każde małe jezioro, wyraźniejsze zagłębienie terenu, obszary podmokłe, strumyki i wywierzyska) oraz z przewodnikiem *Tatry polskie* autorstwa Józefa Nyki. W tym właśnie przewodniku Tata miał zwyczaj zapisywać różne praktyczne rady dotyczące konkretnych tras, zwłaszcza zachodniotatrzańskich. I tak na przykład droga z Kir przez Uplaz na Ciemniak to „szlak nieludzki” z uwagi na „ustawiczne spadziste wcho-

dzenie/schodzenie”, natomiast droga 24B w rejonie Rakonia „nie nadaje się do zejścia”, gdyż „w górnej części nieekonomicznie męczy nogi”. Z notatek można się także dowiedzieć, że Polana na Stołach to „rozległy teren do indywidualnego opalania się”. Jak więc widać, oprócz wędrowki samej w sobie i poznawania kolejnych zakątków gór bardzo ważny element każdej wyprawy stanowił odpoczynek i podziwianie piękna krajobrazów. Oto urywek wiadomości e-mail, którą dostałam od Taty w sierpniu 2006 roku:

Zgodnie z wcześniejszymi planami 3 lipca wyjeżdżałem „Tatrami”, siedząc sobie jak król w lotniczym fotelu wagonu bezprzedziałowego, przy oknie. W plecaku miałem 15 czy 16 T-shirtów, co oznaczało, że spodziewałem się ładnej pogody. Było idealnie. Mieszkiałem w p. 3 (na wprost schodów), z łazienką. Wstawałem za 15 ósma. Deszczowego dnia nie było ani jednego. Upału też w górach się nie czuło. Na 4 dni przyjechała p. Agnieszka M(itura), żeby mnie asekurować, głównie przy przejściu przez Przełęcz Lodową (= Sedielko, 2372). Była to nasza największa przygoda: kiedy po 5 godzinach wędrowki i pokonaniu ponad 1000 m różnicy wysokości znaleźliśmy się ok. 500 m przed Przełęczą, stwierdziliśmy, że cały dalszy odcinek podejścia pokryty jest zimowym śniegiem. Możliwości zawrócenia tak naprawdę nie braliśmy pod uwagę. Szliśmy bardzo ostrożnie i bardzo wolno. Widok z Przełeczy jest imponujący. Zejście przez Zadnią Dolinę Jaworową długie i wyczerpujące: piargi, na których nawet buty Salomona są jak wrotki, a ponadto kilka progów bardzo męczących dla mięśni i kolan. W Łysej Polanie byliśmy po 22.30. [...] Na Słowacji byliśmy jeszcze razem w Dolinie Staroleśnej (*Veľká Studená dolina*), ale ponad półtorej godziny zabrał nam deszcz i musieliśmy się wracać ze względu na brak czasu, będąc ok. 600 m od schroniska Zbójnicka Chata. To bardzo ciekawa trasa. Już sam poszedłem na Polanę pod Wysoką i siedziałem tam półtorej godziny, a wróciłem bez odpoczynku do Łysej Polany w dwie godziny i 10 minut. Przy okazji sprawdziłem, że taki szybki marsz w Tatrach bardzo obniża ciśnienie! Poza tym byłem przy Zielonym Gąsienicowym, w Dolinie Białego, Lejowej i Kościeliskiej (plus Smreczyński), a także na kawałku szlaku z Przystępu Miętusiego w kierunku Małołączniaka. W przeddzień wyjazdu trafiła mi się na Kopieńcu wspaniała ulewa z burzą (siedziałem sobie na progu ostatniego na polanie szałasu). Prawie każdego dnia rozmawiałem ciekawie z napotykanymi na trasie ludźmi, widziałem też kozice i sarenkę (na Kopieńcu). [...] Tata

Jeździliśmy w Tatry co roku przez kilkanaście lat, przemierzaliśmy setki, jeśli nie tysiące kilometrów po tamtejszych szlakach (polskich i słowackich). Każda wycieczka była dobrze przemyślana i zaplanowana, zarówno jeśli chodzi o godziny wyjścia i powrotu, czasy przejścia poszczególnych odcinków, jak i ekwipunek, z uwzględnieniem dostępnej wcześniej prognozy pogody. Nie było mowy o wyprawie w góry bez odpowiednich butów turystycznych (czego lekceważenie jest zgorą współczesnej turystyki tatrzańskiej), ciepłych i przeciwdeszczowych ubrań oraz, naturalnie, picia i jedzenia. Zasada ta dotyczyła wysokich partii Tatr Wschodnich i Zachodnich, jak i ich niższych pięter oraz samych dolin, ponieważ, jak doskonale wiedzą doświadczeni piechurzy górcy, pogoda w tym terenie potrafi zaskakiwać swą zmiennością i nieprzewidywalnością. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że większość wspólnych wypraw z Tatą kończyła się w większym gronie nowo poznanych osób, z którymi toczyła się na szlaku interesująca i długa rozmowa. Konwersacja połączona była z pokonywaniem kolejnych granitowych, gnejsowych lub

wapiennych schodków skalnych oraz podziwianiem turkusowych i szmaragdowych zimnych jezior polodowcowych. Czasem mieliśmy też szczęście napotkać na swojej drodze faunę tatrzańską, taką jak kozice lub świstaki, o czym zapiski (wraz z dokładną lokalizacją tych spotkań) trafiały do przewodnika.

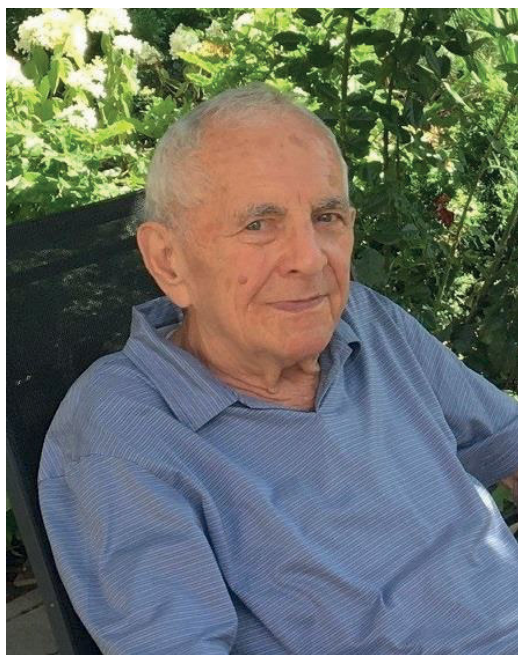
Góry zwykle z wdzięcznością wynagradzały ów zdrowy rozsądek i szacunek do nich pięknymi widokami oraz sprzyjającą wędrownikom aurą.

Można by napisać jeszcze wiele słów, ale ograniczę się już tylko do przepisu na wspomniane wcześniej naleśniki. Oto i on:

- 1 jajko
- 2 nieczubate łyżki stołowe mąki pszennej
- 3 łyżki stołowe wody mineralnej (najlepiej gazowanej)
- 1 łyżka stołowa mleka
- szczypta soli (ewentualnie)

Połącz łyżką lub ubijaczką mąkę z wodą i mlekiem, na koniec dodaj jajko. Smaż na średnim ogniu na patelni równomiernie pokrytej masłem do momentu zarumienienia naleśnika (po obydwu jego stronach). Rozgrzej talerz pod strumieniem gorącej wody lub na parze. Posmaruj naleśnik domowym (najlepiej) dżemem i delektuj się smakiem przy szklance mleka, kakao lub dobrej kawy. Smacznego!

Barbara Opala



9. Spotkanie rodzinne w Piastowie, 2020 r.
Fot. z archiwum rodzinnego

Wspomnienie o Jerzym Mańkowskim

Studiowałem w Warszawie filologię klasyczną wkrótce po odejściu Kazimierza Kumanieckiego. Profesor zostawił po sobie znakomitych uczniów i niektóre zajęcia były na najwyższym poziomie. Zdarzało się jednak, że któryś wykładowca ograniczał się do czytania monotonnym głosem młodopolskich przekładów omawianego pisarza starożytnego. Na takie wykłady wyznaczaliśmy trzyosobowe delegacje, by nie narażać na stratę czasu pozostałych kolegów.

Takie zabiegi absolutnie nie były potrzebne na wykładach i seminariach doktora Jerzego Mańkowskiego. Chodzili na nie tłumnie nie tylko studenci, lecz również pracownicy naukowci. Byliśmy pod wrażeniem nie tylko jego wnikliwej analizy tekstów Homera czy Eurypidesa i znajomości światowej literatury przedmiotu, lecz przede wszystkim ogromnego zapału, z jakim prowadził zajęcia, zapału, który udzielał się słuchaczom. Przychodził ze stosem książek w wielu językach i z entuzjazmem nam opowiadał, co o danym problemie piszą uczeni. Później, czytając jego artykuły, poznałem jego wybitne zdolności polemiczne. Na zajęciach jednak nie polemizował z przedstawianymi tezami, okazując ich autorom głęboki szacunek. Do dzisiaj słyszę jego głos, niemal dławiący się z przejęcia:

– Zwróćmy uwagę, że twierdzi tak nie byle kto, lecz sławny uczyony i znakomity znawca przedmiotu!

Kiedys jeden z tak wychwalanych zagranicznych uczonych przyjechał do Warszawy. Na spotkaniu z nim zachwycaliśmy się jego interpretacją któregoś z ustępów Homera, świetnie nam znaną z wykładów pana doktora. Odparł nieco stropiony:

– Chyba rzeczywiście kiedyś coś takiego napisałem, ale dzisiaj wcale tak nie uważam! Słuchaliśmy tego z okrągłymi ze zdumienia oczami.

Wiele lat później uczestniczyłem parokrotnie w dyskusji o programie studiów. Młodszy koledzy twierdzili, że wykłady z literatury starożytnej są niepotrzebne, gdyż studenci mają do dyspozycji dobre podręczniki, z których się mogą przygotować do egzaminu. Ja im nieodmiennie odpowiadałem:

– Tak mówicie, bo nie słuchaliście wykładów doktora Mańkowskiego. Każdy z jego słuchaczy wie, że naprawdę dobry wykład jest stokroć cenniejszy niż wszelkie opracowania!

– No tak, ale skąd wziąć drugiego Mańkowskiego? – pytali koledzy nie bez racji.

Szczególną formą kontaktu z panem doktorem były kolokwia z lektur w przekładzie. Student miał przeczytać po polsku na przykład jeden z poematów Homera albo którąś tragedię. Doktor Mańkowski zjawiał się – jak na wykładzie – z naręczem książek i przez pół godziny albo i całą godzinę rozmawiał ze studentem o tym utworze. Rozmowa ta była dla nas niezwykle pouczająca – w takim momencie nie zazdrościliśmy już Oksfordowi i Poznaniowi tutoriali – a zarazem była głębokim przeżyciem, bo entuzjazm egzaminatora był zaraźliwy. Krążyła anegdota, że kiedyś podczas kolokwium z *Odysei*, chcąc zdecydować, czy postawić studentowi stopień bardzo dobry, czy celujący, doktor Mańkowski spytał go, gdzie w tym dziele występują kwiczoły. Właściwa odpowiedź na to pytanie brzmiała: w księdze dwudziestej drugiej powieszono przez Telemacha służebnice, które spały z zalotnikami, są porównane do kwiczołów, które wpadły w sidła²⁹. Oczywiście

²⁹ Hom. *Od.* XXII 468–473. Grecką nazwą kwiczoła jest κίχλη.

rozmowy zazwyczaj nie koncentrowały się na takich szczegółach. Wręcz przeciwnie – pozwalały ujrzeć omawiane dzieło z szerszej perspektywy niż kolokwia z lektur w oryginalne.

Komu nie było dane słuchać wykładów Jerzego Mańkowskiego, może poznać jego pasję filologiczną czytając znakomite prace naukowe, zawierające wiele ważnych spostrzeżeń, czasem wręcz odkryć, dotyczących literatury polskiej i polsko-łacińskiej od Wincenego Kadłubka do Jana Kochanowskiego. Przed trzema laty ukazał się zbiór jego artykułów *Memoriale praeteritorum. Studia mediewistyczne i renesansowe*³⁰. Książka ta mogłaby jak najbardziej stać się podstawą habilitacji. Wspomnę tu tylko jeden artykuł, w którym autor rozstrzygnął wieloletni spór dotyczący rękopisu łacińskiego poematu Kochanowskiego *Dryas Zamchana* (rękopis Biblioteki Ordynacji Zamoyskich 206). Pod koniec XIX wieku Józef Przyborowski uznał, że to autograf poety. To przekonanie podzielało większość badaczy do chwili, gdy grafolodzy z Zakładu Kryminalistyki Milicji Obywatelskiej przeprowadzili badania, które zakończyły się wnioskiem, że to nie autograf. Sprawa wydawała się definitywnie rozstrzygnięta, bo choć na ogół milicjanci nie cieszyli się wielkim szacunkiem (opowiadano wiele dowcipów uwłaczających ich inteligencji), to grafolodzy uchodzili za kompetentnych fachowców – to oni udowodnili kiedyś, że zbiór listów Chopina do Delfiny Potockiej jest fałszerstwem. Dopiero w roku 2006 doktor Mańkowski ponownie zbadał tę kwestię i zestawiając kształt liter w rękopisie *Dryas* i w zachowanym w autografie liście Kochanowskiego do Stanisława Fogelwedera wykazał, że milicjanci się mylili i że rękopis wyszedł spod ręki poety. Czytelnik może się o tym sam przekonać, bo w artykule autor zamieszcza zdjęcia odpowiednich miejsc obu manuskryptów³¹.

Nierzadko nazywano pana doktora „boski Mańkowski”. Tej żartobliwej hiperboli używali całkiem serio ci, którym uczony służył radą i pomocą w rozwiązywaniu trudnych problemów filologicznych. Jak mówi bowiem Pliniusz Starszy, *deus est mortali iuvare mortalem et haec ad aeternam gloriam via*³².

Mikołaj Szymański

Argumentum

Doctor Georgius Mańkowski, nuper e vita excessus, a collegis, discipulis nec non sua filia commemoratur hic vocibus decem. Acroases eius de Homero et Euripide et dissertationes de scriptoribus Polonis a Vincentio Cadlubcone usque ad Ioannem Cochanium monstrabant non tantum eruditionem atque ingenium, sed praecipue fervorem, qui eum virum ad litteras tractandas impellebat. Quo fervore etiam eius auditores lectoresque incendebantur. Propinqui et familiares autem memorant eius amorem per regiones montanas ambulandi.

³⁰ Zob. wyżej, przyp. 3.

³¹ *Rękopis BOZ 206...*

³² Plin. *Nat. hist.* II 18.

Bibliografia³³

- Domański, J., *Wspomnienie o prof. Kazimierzu Kumanieckim*, Meander 56, 2001, s. 413–421 (= *Szkice do portretów humanistów XX wieku*, Wydział Polonistyki UW, Warszawa 2017, s. 45–57)
- Domański, J., *Między filozofią a filologią. Wspomnienia*, wyd. II uzup., Instytut Historii Nauki PAN, Warszawa 2012 (Fontes Rerum Historiam Scientiae Spectantium II 200)
- Domański, J., *Safona – Katullus – Kochanowski. Przekład tekstów i przekład kultur*, Meander 77, 2022, s. 67–92
- Kałuża, Z., *Lektury filozoficzne Wincentego Kadłubka*, Instytut Tomistyczny, Warszawa 2014
- Krzywy, R., *L'epica polacca prima e dopo il Gofred (dal Bellum Prutenum di Jan da Wiślica alla Wojna chocimska di Ignacy Krasicki)*, [w:] *L'epica cavalleresca dell'età moderna: un modello europeo. Atti del convegno: Roma, 20–21 settembre 2018*, oprac. M. Wojtkowska-Maksymik, Accademia Polacca delle Scienze, Roma 2019
- Kumaniecki, K., *August*, wyd. A. Zawalska, wstęp K. Marciniak, Instytut Filologii Klasycznej UW, Warszawa 2014
- Kürbis, B. (przeł. i oprac.), *Mistrz Wincenty Kadłubek, Kronika polska*, Ossolineum – De Agostini, Wrocław 2003
- Misiąg-Bocheńska, A., *Dwie daty z życia królowej Jadwigi*, Polonia Sacra 3, 1949, s. 267–275
- Plezia, M. (wyd. i oprac.), *Magistri Vincentii dicti Kadłubek Chronica Polonorum*, PAU, Kraków 1994 (Monumenta Poloniae Historica N. S. 11)

³³ Prace Jerzego Mańkowskiego zestawiono w osobnym spisie w dalszej części tego numeru „Meandra”.